Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 4 (1844) ● 23–29 stycznia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

POZDROWIENIA Z GRENLANDII

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 04

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 769dc3e8be

WOJNA DOMOWA

Sytuacja w Polsce 2050 wcale się nie poprawia. Rada Krajowa nie zgodziła się na powtórzenie wyborów w całości, wobec czego Szymon Hołownia się obraził i wyłączył komputer. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz próbowała ratować sytuację, przekonując Paulinę Hennig-Kloskę do wspólnego przewodniczenia partii, ale nieskutecznie. Górę wzięła – jak ujmuje to „Gazeta Wyborcza" – „frakcja odnowicieli, którzy chcą skończyć z konfrontacyjną polityką wobec Tuska i przenieść spory do kuluarów". Z czego dość jasno wynika, że odnowicielstwo będzie się sprowadzało do odnowienia mandatów, ale w sumie – czemu nie. Większość polityków tej partii i tak już dawno przestała rozumieć, dlaczego w zasadzie nie są w Platformie Obywatelskiej i o co chodzi z tą trzecią drogą.

Przed szczytem w Davos Prawo i Sprawiedliwość wypracowało przekaz dnia na temat planów napadu Trumpa na Grenlandię. W poniedziałek rano lekcję wydał w Tefałenie Jacek Sasin: „To jest sprawa pomiędzy dwoma państwami: między Danią i Stanami Zjednoczonymi". W naszych zdradzieckich duszach zrodziło się pytanie: dlaczego Donbas nie jest sprawą między Rosją i Ukrainą? – ale i na to poseł Sasin znalazł odpowiedź: „Oczywiście gdyby ktoś chciał w ten sposób negocjować z Putinem i uważać, że uda się znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie – z takim człowiekiem, jak Putin, to byłoby naiwne. Natomiast Stany Zjednoczone są jednak krajem przewidywalnym, szanującym zasady". Prezydent Maduro i jego żona Cilia mogą mieć w tej sprawie inne zdanie, ale kto by tam komunistów słuchał.

O ten drobny punkt sporny zapytany został także Karol Nawrocki, który w Davos wziął udział w panelu u boku sekretarza generalnego NATO Marka Ruttego i prezydenta Finlandii Alexandra Stubba. Dobór panelistów był wyraźnie nieprzypadkowy: wszyscy są mistrzami w penetrowaniu Trumpowego odbytu. Na pytanie: „Jak daleko jest pan gotów pójść, żeby mieć dobre relacje z USA: czy to jest oddanie Grenlandii, sprzedanie Grenlandii?" – prezydent RP udzielił niezwykle wyczerpującej odwiedzi. Zacytujemy w całości, bo warto. „Mamy 10 tysięcy amerykańskich żołnierzy w Polsce, kupujemy amerykański sprzęt wojskowy, który jest najlepszy na świecie, mamy największą armię w Europie Środkowo-Wschodniej, Polska zwiększyła procent PKB przeznaczony na wojsko na prawie 5 proc. Czujemy się odpowiedzialni za Polskę. Ja wierzę w polskich żołnierzy, w nasz sojusz, ale Stany Zjednoczone Ameryki dla całej wschodniej flanki NATO są bardzo ważnym sojusznikiem i te relacje oparte są również na naszej historii. To są relacje oparte na wartościach, mamy wspólnych bohaterów niepodległości". „Patrz Kościuszko na nas z nieba"… W tym miejscu nieuchronnie przypomina nam się odpowiedź Gałczyńskiego: „i popatrzył nań Kościuszko, i się zwymiotował".

Prezydent Nawrocki – po amerykańsku „Nauraki" – jest tym bardziej miły dla Donalda Trumpa, że ten zaprosił go do Rady Pokoju i to nawet w okresie bezpłatnej promocji. Prezydent RP jest wdzięczny, ale też nieco zaniepokojony, że miałby zasiadać przy jednym stole z Putinem, tylko chyba nie wie, jak odmówić, bo zwrócił się o opinię do rządu. Rząd stanął na wysokości zadania. Jak poinformował rzecznik Szłapka: „Rada Ministrów wysłuchała informacji pana premiera Sikorskiego w sprawie propozycji pana prezydenta Trumpa. To, co jest szczególnie ważne, co szczególnie wymaga podkreślenia, to jest element artykułu 89 Konstytucji: każdy udział Polski w jakiekolwiek organizacji międzynarodowej, umowie międzynarodowej wymaga zgody Rady Ministrów, potem procesu ratyfikacji"… Tak tylko odnotujemy, że żaden z tych mężów stanu, skupionych na rozgrywce między sobą i wspólnej nienawiści do Ruskich, nie powiedział, iż pomysł, żeby narcystyczny socjopata z wyraźnymi oznakami demencji założył sobie prywatny klub z wpisowym po dużej bańce papieru i z tej pozycji decydował nie tylko o losach dwóch milionów Palestyńczyków, ale także uzurpował sobie uprawnienia ONZ – jest kompletnie pojebany.

Już chyba każdy Polak i każda Polka, a także każde Polaczątko wyjęło ze skrzynki dziecko miłości Kierwińskiego i Kosiniaka-Kamysza: „Poradnik bezpieczeństwa". Temat pojawił się w rozmowie Radia Zet z europosłem Szczerbą. Pytanie: „Rząd radzi, aby zapewnić sobie alternatywne źródła ogrzewania, kiedy nie będzie prądu. To jakie alternatywne źródła ogrzewania niedziałające na prąd zamierza pan zamontować u siebie w domu?". Odpowiedź: „Hm. No nie wiem, ja jestem chyba podłączony do do systemu miejskiego, więc wiem, że mój prezydent mojego miasta Rafał Trzaskowski wdraża najnowsze systemy dotyczące ochrony infrastruktury krytycznej, współpracując ze służbami specjalnymi, współpracując ze wszystkimi agendami państwowymi". „Ale odstawiając na bok Rafała Trzaskowskiego: nie ma prądu. I co by pan w zamian zaproponował?" – bezczelnie przerwała mu red. Lubecka. „Pani redaktor, na przykład mój prezydent mojego miasta Rafał Trzaskowski planuje III linię metra, która będzie całkowicie autonomiczną linią metra"… Michał Szczerba, jak przystało na syna boksera, nie daje się oszołomić gradem ciosów zaczepnych, które prawie można by nazwać nękającymi.

Jak lewica zagłosuje w sprawie zniesienia zasady dwukadencyjności? – został zapytany Włodzimierz Czarzasty. – Na razie nie ma tego projektu na wokandzie – odparł marszałek. – Ale czy pan się opowiada za zniesieniem dwukadencyjności czy nie? – bezczelnie naciskała dziennikarka. – Komisja musi dać sprawozdanie i musimy poznać ostateczny kształt tej ustawy. – Ale sama idea: to dobry pomysł? – Nie będę się odnosił do idei, wolę się odnosić do ustawy. – Anna Maria Żukowska mówiła o tym, że to jest jeden z niewielu, a może jedyny dobry pomysł Prawa i Sprawiedliwości; czy coś się zmieniło w tej sprawie z punktu widzenia lewicy? – Powtórzę pani jeszcze raz: w momencie, w którym projekt wyjdzie z komisji i będzie sprawozdanie z projektu tej ustawy… Pamiętacie, kiedy Czarzasty był tym facetem, który może nie dawał się lubić, ale mówił to, co myśli?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

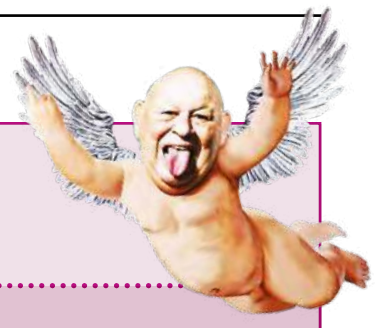

Styczeń 2014 r.

Świętego Paulina

Napadła mnie grypa polska, czyli z wysoką gorączką. Pudel Azor, nosiciel Polonia Restituta, ani razu nie odwiedził mnie w chorobie. Wysyłał sukę Felę, żeby zerknęła na mnie, czy on, Azor, już dziedziczy, czy jeszcze musi poczekać.

Świętej Roseliny

Na moją grypę przypadły trzy pogrzeby, na których powinienem był być. Ponieważ pogrzeby to nie są okoliczności, w których można się rozerwać, wybrałbym pogrzeb Janka Bijaka, byłego szefa „Polityki". Był moim zwierzchnikiem w „Nowej Wsi" i „Polityce" od 1951 do 1981 r. z przerwą. W tej pierwszej redakcji – jak do niej przyszedłem – oskarżano go o agraryzm. To odchylenie polegające na głoszeniu prymatu rolnictwa nad przemysłem, bardzo obrażające klasę robotniczą. Potem przez całe życie miał bliskie stosunki z kierownictwem ZSL, choć należał do PZPR. Zwykle bywało na odwrót. Wspaniały redaktor, człowiek, kolega, przełożony i negocjator. Więcej przeczytacie w „Polityce".

Świętej Priscy

Drugi obowiązujący mnie pogrzeb odbywał się żabi skok od mojego domu w Konstancinie. Nekrologi głosiły, że uroczystości żałobne byłego członka Biura Politycznego KC PZPR Prezesa Rady Ministrów w PRL towarzysza Zbigniewa Messnera rozpocznie msza święta w kościele konstancińskim na rogu ul. Piłsudskiego i tej, przy której mieszka Rywin.

Wobec prof. Messnera miałem dwie przewiny. W latach 80. napisałem list proponujący zmianę tego premiera na innego i adresat dał owe pismo Messnerowi do przeczytania.

W tym czasie mieszkałem z premierem w jednej willi; ogród dzielił nas od restauracji w hotelu rządowym. Miałem jamniczka – szczeniaka. Personel oznajmił mojej kochance, że premier Messner zabronił szczeniakowi wchodzić do ogrodu, bo znaleziono tam jego kupę. Daniszewska uniosła się oburzeniem, a po utracie władzy przez PZPR prof. Messner zapewniał przy wódce Daniszewską, że miała do czynienia z ohydną intrygą personelu, a on kocha psy.

Świętego Mariusza

Trzecim konduktem, za którym powinienem iść, był pogrzeb red. Andrzeja Turskiego. Pomiędzy marcem a wrześniem 1989 r. byłem prezesem radia i telewizji. Turski pracował wówczas jako dyrektor Programu I TVP. Pełnomocnikiem Solidarności do spraw TV był Jacek Kuroń i z nim współpracowało się gładko i przyjemnie. Natomiast na co dzień reprezentowała go komisarz polityczny Jankowska z radia. Wzbudzała ona grozę. Gdy słyszałem z korytarza jej skrzeczący głos radiowca, zamykałem się w sraczu i trząsłem ze strachu. Red. Turski miał umiejętność uspokajania bestii z Solidarności.

Świętego Sebastiana

W Warszawie reprezentacja IPN prowadziła uliczną agitację przeciwko powrotowi Pomnika Braterstwa Broni Polsko-Radzieckiej, tzw. czterech śpiących, na jego miejscu na Pradze. Była to akcja instytucji państwowej, jaką jest IPN. Protestowała ona przeciw decyzji innej instytucji tego samego państwa – Rady Warszawy wyłonionej w wyborach samorządowych. Dotychczas społeczeństwo dzieli się na nacjonalistów i większość. Mamy oto objaw ulicznych zmagań wewnątrz aparatu państwa. Zapowiada to, że po wyborach może nastąpić rozpad struktur państwa i dwuwładza. Pisaliśmy, że Tusk zbroi się bez sensu. A może wie, co robi, bo Kaczyński zrobi Syrię? Urzędnicy IPN już przebrani byli za partyzantów.

Świętej Agnieszki

U mnie w domu gender nie jest przedmiotem dyskusji, tylko zajęć praktycznych. Żona zrobiła mi dziury w skarpetkach i kazała cerować. – Pani Daniszewska – broniłem się – od pół wieku skarpetek nie ceruje się, tylko wyrzuca i kupuje tuzin nowych. – Żeby zrozumieć bezmiar upośledzenia kobiet – odparła ta kobieta – nie wystarczy, jak wstawisz talerz do zmywarki. Musisz przejść wszystkie historyczne etapy naszego upodlenia. Czeka już na ciebie kołowrotek i wrzeciono. Jutro przyjdzie krowa do wydojenia i bachor do kołysania. Dostaniesz sznurowany gorset i krynolinę. Włożę ci pas cnoty i dam krzemień do krzesania ognia oraz męski kołtun do iskania. Po podbiciu oczu.

– Dobrze, najdroższa. Z krową przyjdzie żubr do upolowania łukiem, a ty zaraz włożysz sobie sztywny kołnierzyk z celuloidu. Potem dostaniesz 100-kilową zbroję i staniesz z nią w muzeum z podniesionym mieczem i z nagolennikami gotowymi do wyścigu szczurów. Wybiję ci też z głowy dopełnianie szklanki wódki sokiem z pomarańczy. Łap w barze chuch i bekaj, jak ja dotychczas, onanizując się trzy centymetry powyżej krocza.

Świętego Vincenta

Dzisiaj pisałem list.

Bardzo Wielce Szanowna Pani Profesorko Doktorko prawdziwie habilitowano Małgorzato Środo!

Słownie i pisemnie tłumaczyła Pani, że babcia nie musi mieć wąsów, żeby odgrywać rolę dziadka, czyli ideę gender.

Zwracała się Pani do P.T. księży i ich wyznawców, że idea gender nie polega na smarowaniu diabłu rogów trucizną, kwaszeniu mleka w wymionach krów, zatruwaniu wodociągów, obcinaniu dziewczynkom cycków, przyprawianiu im bród ani na duszeniu przez ściskanie szyjki macicy. Gender nie chce niszczyć biologicznej właściwości żadnej płci. Wyraża się natomiast poprzez nie pogląd, że społeczna rola kobiet nie jest zdeterminowana biologiczne, lecz obyczajowo – przez wymuszone stosunki patriarchalne i egoistyczne interesy mężczyzn. Wiedza o gender służy więc wyzwoleniu kobiet i zrównaniu z mężczyznami ich położenia politycznego, ekonomicznego, rodzinnego, społecznego, zawodowego i w kulturze (wyjąwszy wokalistykę operową).

Twierdzi Pani, że wszyscy pragną równouprawnienia płci i zmniejszenia dyskryminacji kobiet. Rzecz więc w tym, że gender nie jest rozumiana przez kler i tak wypaczana, by z nią wojować i nią straszyć. Mylne przekonanie, że księża nie wiedzą, o co naprawdę chodzi, świadczy o dziewczęcej naiwności Pani Profesor. Pragnie Pani rozpędzić przesądy i uprzedzenia odnoszące się do płci, przekonana, że wszyscy chcą sprawiedliwości. Księża zaś po ich oświeceniu równoprawnie potraktują los ich owiec i baranów.

Jest Pani otóż w karkołomnym błędzie. Jakkolwiek klechy straszą wyznawców nowym Szatanem, oni doskonale rozumieją, co to gender, i nie trzeba im tego tłumaczyć. Są przeciwko równoprawności kobiet i mężczyzn. Pragną zachowania i wzmocnienia ucisku samic ludzkich. I to mówią, tylko nie tak to mówią.

Śladem kilku biskupów poglądy ich wyraził mistrz pobożności wagi ciężkiej Tomasz P. Terlikowski w artykule „Gender groźniejsze niż Tusk" w „Gazecie Polskiej Codziennie" nr 13. Pisze ów wierny Tomasz, że z mocy nauczania dwóch byłych papieży politycy muszą wprowadzić konkretne rozwiązania prawne, które m.in. będą, cytuję,: „wspomagać wielodzietność, pomagać kobietom w wybraniu swojej drogi realizacji w domu, a także sprzyjać umacnianiu tradycyjnych ról społecznych kobiet i mężczyzn". Jasno powiedziane, z dodatkiem, że gender to główny wróg przetrwania Polski jako państwa i narodu „wielkich rodzin. Rodzin tradycyjnych".

I co tu palić głupa, cokolwiek bigotom perswadując? Kobieta, nabrawszy sakramentu ślubu, ma rozkładać nogi i dawać sobie nadmuchiwać brzuch rok po roku. Krąg wrzeszczących bachorów wybije jej z głowy myśl o człowieczeństwie i nawet milion Trynkiewiczów tu nie poradzi.

Listu nie wysłałem. Funkcję poczty podobno pełni teraz sklep z butami, ale nie wiem który.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Glebą Roku 2025,** wybraną przez Polskie Towarzystwo Gleboznawcze, została gleba bielicowa. Hańba! Powinna wygrać Ziemia Wolska!
- Jak informuje **fronda.pl,** osoby religijne mają inny mózg niż osoby niewierzące. Racja, samodzielne myślenie nie jest poważane w Kościele katolickim.
- **Zbigniew Ziobro** zapowiedział otwarcie kanału na YouTubie. Będzie to kanał kulinarny o kiszeniu miękiszonów.
- **Konfederacja** chce umożliwić dzieciom uczestniczenie w polowaniach. Ze szczególnym uwzględnieniem polowań na grzybiarzy.
- **Magdalena Ogórek** reklamuje suplementy, po których jej włosy rosną jak szalone. Stąd ten kowbojski chód.
- **Leon XIV** powraca do publicznego obmywania stóp w Wielki Czwartek. Ciekawe, czy usługa obejmuje usunięcie modzeli.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

eprasa.pl 769dc3e8be

Laboratorium faszyzmu

Co naprawdę znaczy „murem za mundurem”

Było lato 2024 r. Zaczęło się – jak to w Polsce – od ciszy w lesie. Nie od wielkich słów z sejmowej trybuny, tylko od wilgotnego, białowieskiego półmroku, w którym 19-letni Mohamed Hussein, chłopak z Afganistanu, szedł w stronę muru tak, jak idzie się ku obietnicy: niebogatej, ale jednak obietnicy, że po drugiej stronie nie będą już strzelać. A jednak strzelali.

Piotr Czaban w reportażu „Wszyscy kłamali” przedstawił fakty. Do zdarzenia doszło po polskiej stronie granicy. Z relacji Mohameda i z dowodów zebranych przez dziennikarza, w tym z nagrań monitoringu, wynika, że atak nastąpił bez ostrzeżenia – gdy Mohamed przeszedł przez mur, żołnierz zaczął do niego strzelać z broni na kule gumowe. Afgańczyk został trafiony w oko, w pośladek i w palec. Było też bicie bezbronnego – gdy uchodźca leżał na ziemi i błagał, by nie strzelano, żołnierz uderzył go twardym przedmiotem, prawdopodobnie bronią, w głowę i kopnął w twarz. Skutki są trwałe: pęknięty oczodół, złamany nos, przetrącona szczęka. Mohamed do dziś nie widzi na prawe oko i żyje z bólem połamanej twarzy.

Mechanizm państwowego kłamstwa

Reportaż demaskuje skoordynowaną akcję dezinformacyjną rządu i wojska. Oficjalna narracja była prosta: członkowie rządu – w tym minister Władysław Kosiniak-Kamysz – oraz rzecznicy wojska twierdzili publicznie, że to żołnierz został zaatakowany łokciem w oko przez „agresywnego migranta”. Czaban pokazuje, że to nieprawda.

Nawet gdy wypłynęły już nagrania wideo, Ministerstwo Obrony Narodowej podtrzymywało wersję, w której ofiarą był funkcjonariusz.

Dehumanizacja i systemowe zaniedbania

Historia Mohameda pokazuje, jak aparat państwowy traktuje tych, których uznał za „zbędnych”. Po zmasakrowaniu był on przez trzy dni przetrzymywany w placówce Straży Granicznej, gdzie dostawał tylko wodę. W ośrodku w Białymstoku – mimo połamanych kości twarzy i wypadającego oka – kazano mu „iść pod prysznic” i odmawiano leków przeciwbólowych.

Fizyczne pozbycie się kluczowych świadków

Czaban pisze wprost: działania służb i rządu miały na celu „pozbyć się świadka, pozbyć się ofiar”, żeby „zamieść sprawę pod dywan”. Próbowano deportować Mohameda, by – jak twierdzi dziennikarz – niewygodny świadek i ofiara zniknęli, zanim sprawa ujrzy światło dzienne. Deportacja sprawia bowiem, że człowiek, który mógłby zeznawać przeciw funkcjonariuszom, wypada z zasięgu polskiego wymiaru sprawiedliwości. I dokładnie o to chodziło.

Uniemożliwienie rzetelnego zabezpieczenia dowodów

W przypadku Mohameda Husseina próby deportacji podejmowano dwukrotnie – najpierw do Uzbekistanu, potem do Afganistanu. Wcześniej w ten sam sposób deportowano innego Afgańczyka, naocznego świadka ataku żołnierza. Usunięcie ofiary i świadków z kraju drastycznie utrudnia śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień. Pełnomocnik ofiary Jakub Ławniczak napotykał systemowe bariery w kontakcie z klientem: Straż Graniczna utajniała miejsce pobytu Husseina, a administracja ośrodka blokowała widzenia, dopóki rany po pobiciu były najbardziej widoczne.

Deportacja miała być ostatnim krokiem w odcięciu Mohameda od ochrony prawnej.

A rząd wciąż powtarzał swoją fałszywą opowieść. Według oficjalnej wersji to żołnierz był ofiarą „agresywnego” migranta.

Pracownia tworzenia „ludzi zbędnych”

Z dziennikarskiego śledztwa wynika, że państwo nie tylko stosuje przemoc w takich „laboratoriach” jak granica polsko-białoruska, lecz także używa procedur administracyjnych – deportacji – by tę przemoc zacierać i wypychać ofiary poza wspólnotę prawa, gdzie ich los przestaje być widoczny.

Profesor Jacek Kochanowski w książce „Brunatna fala. Socjologia nowego faszyzmu w Polsce” ostrzega, że mechanizmy faszyzmu już dziś działają pod nowoczesnymi nazwami. Zamiast obozów koncentracyjnych mamy „ośrodki detencyjne” – miejsca, w których „żadne prawo nie obowiązuje”, a ludzie zostają wyłączeni spod ochrony praw człowieka. Tak było w Czeczenii wobec homoseksualnych mężczyzn i tak – według autora – dzieje się dziś wobec migrantów w Polsce. Źródłem tej przemocy jest uznanie części ludzi za „bezprawnych”, czyli takich, których życie jest „niewarte życia”. Na tym właśnie polega faszyzm.

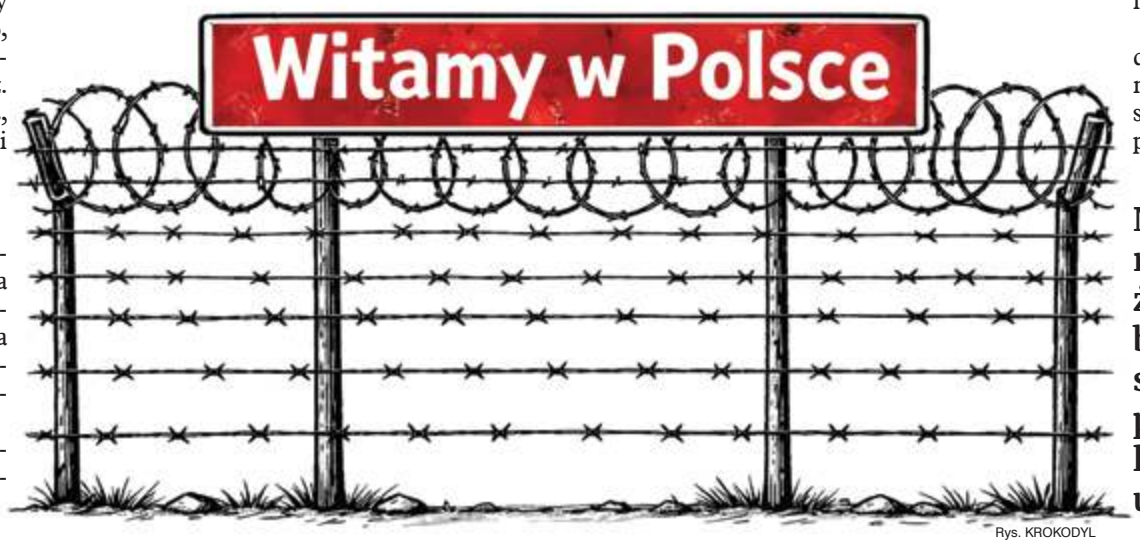

Rys. KROKODYL

Eskalacja

Kochanowski przytacza też słowa Mariana Turskiego. Turski mówił, że faszyzm „nie zaczyna się od komór gazowych”, lecz od drobnych, pozornie „niewinnych” wykluczeń, do których społeczeństwo stopniowo przywyka.

Najpierw: „Żydom nie wolno siadać na tych ławkach”. Potem: „Żydom zabroniony wstęp do tej pływalni”. Później: „Żydom nie wolno należeć do niemieckich związków śpiewaczych”. Następnie: „dzieciom żydowskim, niearyjskim, nie wolno bawić się z dziećmi niemieckimi, aryjskimi”. W końcu: „Żydom sprzedajemy chleb i produkty żywnościowe tylko po godzinie 17:00”. Każdy z tych kroków wydaje się drobny, „do przeżycia”. Ale – jak podkreślał Turski – właśnie tak społeczeństwo uczy się akceptować wykluczenie: oswaja się z myślą, że kogoś można wyłączyć ze wspólnoty, stygmatyzować, wyalienować. Z czasem Żydzi stają się „innymi”, „obcymi”, tymi, którzy „roznoszą zarazki i epidemie”. A potem przychodzi znieczulica większości. Ludzie przestają reagować. Władza może więc przyspieszyć: getta, deportacje, wreszcie masowe mordy – Chełmno, Auschwitz, komory gazowe. A w przypadku Mohameda: kalectwo, obóz detencyjny i deportacja do miejsca, z którego musiał uciekać.

Profesor Kochanowski wyciąga wniosek: to, co dziś chętnie nazywa się populizmem, w istocie jest nową falą faszyzmu. Bo faszyzm nie musi zaczynać się od przemocy. Zaczyna się od odebrania ludziom prawa do bycia ludźmi.

• • •

Najbardziej przerażające w historii Mohameda nie jest to, że jeden żołnierz użył przemocy. Najbardziej przerażające jest to, jak sprawnie system próbował tę przemoc zalegalizować, znormalizować i przykryć. Jak wielu ludzi uznało ją za „konieczną”.

Bo jeśli dziś zgadzamy się, że można oślepić 19-latka w imię „ochrony granic”, to jutro – w imię porządku publicznego – przyjdą po kolejne „zbędne” grupy.

Faszyzm nie spada z nieba. Wyrasta z drobnych zgód, małych kłamstw i wielkiej obojętności. Granica jest tylko początkiem. Laboratorium już działa. Pytanie brzmi: kto będzie następnym królikiem doświadczalnym?

ANNA GRODZKA

Dement rulez

Trump jest groźniejszy, niż sądzicie

Występ Donalda Trumpa na Światowym Forum Ekonomicznym różnił się od innych jego przemówień tym, że przez dłuższy czas na początku i chwilę na końcu udało mu się trzymać skryptu – co można było poznać nie tylko po tym, że zdania miały zrozumiałą strukturę, ale także po intensywności, z jaką wpatrywał się w prompter. W środku jednak odpłynął w typowym dla siebie stylu, lamentując nad niewdzięcznością Europy, która nie chce mu oddać Grenlandii, choć USA ponosiły „100 procent kosztów NATO” – a przecież „wszystko, o co proszę, to kawałek lodu, zimny i źle ulokowany”. Następnie ześlizgnął się w dziwaczną opowieść o tym, jak negocjował z Macronem podniesienie cen leków na receptę we Francji: „Mówiłem mu: Emanuel, będziesz musiał to zrobić, a on: nie, nie, nie, a ja mu: będziesz musiał, nie chcę o tym mówić publicznie, ale możesz mnie do tego zmusić, ponieważ nas dymaliście przez 30 lat”… Potem był jeszcze kuriozalny monolog, w którym prezydent USA zaczął od deficytu w obrotach ze Szwajcarią, po czym z tematu Rolexów przeskoczył na świeżą trawę w Waszyngtonie, poskarżył się na ukradzione zwycięstwo z 2020 r., a zwieńczył to wszystko absurdalnym atakiem na Somalię, która „nie jest państwem”.

Komentatorzy upierający się przy traktowaniu Trumpa jak normalnego polityka z ulgą wydłubali z tego bełkotu zapewnienie, że nie użyje siły do przejęcia Grenlandii – którą zresztą w pewnym momencie zaczął nazywać Islandią – ale tak naprawdę trzeba mieć świadomość, że niczego, co Donald Trump mówi i robi, nie można traktować poważnie.

Skrót poprzedzającego Davos tygodnia międzynarodowej aktywności prezydenta USA.

Zaczął go od przyjęcia Pokojowej Nagrody Nobla przyznanej komu innemu. Później ogłosił się szefem Rady Pokoju, z wpisowym w wysokości miliarda dolarów. Dalej obraził się na prezydenta Francji – który nie wyraził chęci wstąpienia – bo choć „nikt go w tej radzie nie chce”, to jak Trump obłoży francuskie szampany 200-procentowym cłem, Macron sam przyjdzie. Następnie zagroził cłami Norwegii, Szwecji, Francji, Niemcom, Wielkiej Brytanii, Holandii i Finlandii, które w wyrazie solidarności wysłały żołnierzy na ćwiczenia na Grenlandii, po czym opublikował w socjal mediach groźbę pod adresem szefa norweskiego rządu: „Biorąc pod uwagę, że twój kraj postanowił nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla za powstrzymanie ośmiu wojen PLUS, nie czuję się już w obowiązku myśleć wyłącznie o pokoju”.

Potem poinformował premiera Wielkiej Brytanii, że realizacja orzeczenia MTS o zwrocie Mauritiusowi archipelagu Czagos „jest aktem OGROMNEJ GŁUPOTY”, choć w maju Marco Rubio wydał pochwalne oświadczenie na ten temat.

I wreszcie w przeddzień wylotu do Davos Trump opublikował na swoich socjalach prywatną korespondencję z prezydentem Macronem i sekretarzem Rutte, w której obaj politycy usiłowali załagodzić sytuację, co ozdobił dwoma obrazkami wygenerowanymi przez SI: na pierwszym pokazuje europejskim przywódcom mapę USA obejmującą Kanadę, Grenlandię i Wenezuelę; na drugim w towarzystwie J.D. Vance’a i Marca Rubio wbija amerykańską flagę w kamienistą glebę, a obok jest napis: „Grenlandia – terytorium USA ustanowione w 2026 r.”.

W razie gdyby ktoś z Państwa miał wątpliwości, czy są to działania osoby w pełni poczytalnej – nie jesteście sami.

Dyskusje na temat poczytalności Trumpa nie są nowe; już w jego pierwszej kadencji 27 specjalistów od zdrowia psychicznego opublikowało książkę „Niebezpieczny przypadek Donalda Trumpa” ostrzegającą przed niestabilnym psychicznie prezydentem charakteryzującym się narcystycznym zaburzeniem osobowości w ekstremalnej formie, przez Ericha Fromma nazwanej narcyzmem złośliwym. Podstawowe objawy: patologiczne urojenia wielkościowe, amoralność, brak sumienia, zaburzony ogląd rzeczywistości, często połączone z tendencjami sadystycznymi i paranoją.

Jeśli myślicie, że to jest źle – to nie wiecie wszystkiego. Obecnie – stwierdza coraz większa grupa psychiatrów, psychologów, neurologów i innych specjalistów – **na narcyzm Przywódcy Wolnego Świata nakłada się demencja. Większość specjalistów mówi o otępieniu czołowo-skroniowym (FTD), związanym z trwałymi zmianami zanikowymi w płacie czołowym i skroniowym mózgu.**

Jej przejawami są zmiany zachowania i osobowości, zmiany językowe, poznawcze, motoryczne, problemy z kontrolą emocji. Wszystkie te zjawiska są diagnozowane u prezydenta USA.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dr Lance Dodes, emerytowany profesor Harvard Medical School: „Normalne starzenie charakteryzuje się zapominaniem imion lub słów; Trump wykazuje natomiast dezorientację co do rzeczywistości”. Jego absurdalne opowieści dotyczą polityki: „Joe Biden pokonał Baracka Husseina Obamę, czy ktoś o nim słyszał? W każdym stanie, w którym wyniki wyborów były niepewne, Biden pokonał Obamę, ale w każdym innym stanie poniósł sromotną porażkę” – ale także życia prywatnego. Jak snuta z nostalgią opowieść o jego wuju, wykładowcy MIT, który miał uczyć Unabombera: „Zapytałem: jakim był studentem, wujku Johnie, a on odpowiedział: naprawdę dobrym”. Wuj Trumpa zmarł w 1985 r., Kaczynski został publicznie zidentyfikowany jako Unabomber w 1996 r., a poza tym nigdy nie studiował na MIT.

Harry Segal, wykładowca na Wydziale Psychiatrii Weill Cornell Medicine, zwraca uwagę, że do typowej dla Trumpa skłonności do konfabulacji doszedł nowy objaw: „zaczął mylić słowa, tracić wątek, mylić Bidena z Obamą. Istnieją przykłady parafazji fonemicznej – zamiany części słów na inne, które brzmią podobnie; są to oznaki wczesnej demencji”. Szczególną trudność sprawiają Trumpowi w nazwy krajów: Azerbejdżan konsekwentnie nazywa nazwał „Aberbajżanem”, Namibię – „Nambią”, Wenezuelę wymawia w liczbie mnogiej: „Venezuelas”, Nepal i Bhutan to dla niego „Nipple” i „Button” (Sutek i Guzik).

Suzanne Lachmann, znana nowojorska psycholożka, podkreśla, że prezydent często w środku zdania zapomina, co chciał powiedzieć, co owocuje dziwaczną sałatką słowną – jak w absurdalnym monologu o prezydencie Obamie, który szybko schodził pod schodach Air Force One: „Jedna rzecz, jeśli chodzi o Obamę, nie miałem dla niego żadnego szacunku jako prezydenta, ale on zbiegał po tych schodach, tak jak nigdy nie widziałem, da-da, da-da, da-da, bop, bop, bop”…

Schodzenie po schodach – i generalnie kontrola nad własnym ciałem – to kolejny problem związany z przypisywaną Trumpowi chorobą. Richard E. Cytowic, profesor neurologii na George Washington University mówi o charakterystycznym pochyleniu ciała do przodu i hemibalistycznych (gwałtownych jednostronnych) ruchach prawej ręki: „Osoby, które mają problemy z równowagą i chodem podobne do tych obserwowanych u Trumpa, mogą cierpieć na zwyrodnieniową chorobę mózgu w płacie czołowym, taką jak otępienie czołowo-skroniowe lub choroba Picka”.

Biegła sądowa z zakresu psychiatrii i wykładowczyni na University of British Columbia, dr Elisabeth Zoffmann, zwraca uwagę na szeroki chód i charakterystyczne zarzucanie prawą nogą, a także zmiany w sposobie mówienia, polegające na używaniu coraz mniejszej liczby coraz prostszych słów, rezygnacji z przymiotników i przysłówków. Innym przejawem FTD jest permanentnie widoczne u Trumpa upośledzenie koncentracji poznawczej – te wszystkie dziwaczne dygresje, kompletnie niezwiązane z tematem, które widzieliśmy choćby w Davos.

Gary Marcus, emerytowany profesor psychologii i neuronauki New York University, mówi z kolei o objawie zwanym rozhamowaniem – utracie normalnych mechanizmów samokontroli, co przejawia się w niestosownych zachowaniach, często agresywnych bądź o charakterze seksualnym. Jak wtedy, kiedy prezydent USA symulował seks oralny z mikrofonem na wiecu w Milwaukee, opowiadał o wielkości penisa zmarłego golfisty Arnolda Palmera, powiedział do dziennikarki: „Cicho, Piggy”, czy zarzucił zgromadzonym w Davos głowom państw, że „dymają USA”.

John Gartner – emerytowany wykładowca Johns Hopkins University Medical School i inicjator książki „Niebezpieczny przypadek Donalda Trumpa” – mówi: „Donald Trump wykazuje kliniczne objawy demencji, które pogłębiają jego złośliwy narcyzm. Prezentuje też zachowania paranoiczne, typowe dla pogarszającego się stanu zdrowia fizycznego i poznawczego”.

Hip, hip, hurra! – na cześć Lidera Wolnego Świata.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 769dc3e8be

GADMAN

Czy Grzegorz Braun założy jarmułkę ?

Rok świrów

Zimna Warszawa huczy od gorących plotek. Podobno ambasador USA w Polsce JE Tomasz Rose wezwał na audiencję pana prezesa Kaczyńskiego. By po wstępnej wymianie uprzejmości poinformować historycznego przywódcę polskiej prawicy, że administracja waszyngtońska nie będzie popierała przyszłego prawicowego rządu z udziałem Konfederacji Korony Polskiej dowodzonej przez eurodeputowanego Grzegorza Brauna.

Bo wspomniany eurodeputowany uważany jest w Waszyngtonie za fundamentalnego antysemitę i wroga państwa izraelskiego.

I choć eurodeputowany Braun jest także przeciwko aborcji, osobom LGBT, Unii Europejskiej, co zbieżne jest z dominującą w Waszyngtonie ideologią trumpizmu-muskizmu, to jednak ów antysemityzm dyskwalifikuje go z grona trumpowych sojuszników.

Co gorsza dla Brauna, ambasador Rose jest Żydem, działającym jawnie pod jarmułką, którą nosi. W latach 1997–2005 był wydawcą i dyrektorem generalnym „Jerusalem Post". Przez dziesięć lat mieszkał w Izraelu.

Ma opinie „ognistego konserwatysty i zagorzałego syjonisty". Nieraz krytykował administrację prezydenta Bidena za propalestyńskie sympatie. Jest też Rose zwolennikiem amerykańskiej pomocy Ukrainie w wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Odrzucał twierdzenia, że wojna ta została sprowokowana przez NATO.

Polskie elity polityczne przywykły już do politycznych spowiedzi podczas audiencji u ambasadorów USA. Tak jak i oni przywykli do roli rewizorów pilnujących interesów waszyngtońskiej centrali w polskiej prowincji.

Taki nieskrywany styl pracy wprowadziła republikańska ambasador Georgette Mosbacher. Aktywnie i twórczo kontynuował go demokrata Mark Brzezinski. Teraz w jego buty wskoczył wierny trumpowski Tomasz Rose.

Nie mieć i mieć

Prezes Kaczyński pewnie utopiłby eurodeputowanego Brauna w kieliszku śliwowicy paschalnej, gdyby nie potrzebował go teraz i tu.

Prezes chce powrócić do władzy ze swą zjednoczoną prawicą. I jak każdy stary generał chce dokonać tego wedle strategii i taktyk sprawdzonych w poprzedniej, chwalebnie zwycięskiej wojnie.

Wymyślił znów, że najpierw zjednoczy opozycję parlamentarną, a potem zgłosi wniosek o odwołanie rządu Donalda Tuska. Konstruktywne wotum nieufności. Oczywiście prezes nie liczy, że uda mu się zgromadzić wystarczającą ku temu większość w sejmie. Chce długiej debaty krytycznej wobec rządu Tuska. Chce też powtórzyć polityczny manewr z „premierem technicznym" i prawicowym „gabinetem cieni".

W 2013 r. takim „technicznym premierem" zgodził się zostać prof. Piotr Gliński. Ponieważ nie był wtedy posłem, to podczas debaty na sejmową mównicę wszedł poseł, prezes Jarosław Kaczyński. Wyciągnął tablet z nagranym przemówieniem programowym swego „premiera technicznego". Tak PiS rozpoczął długotrwałą kampanię wyborczą do parlamentu.

Po wygranych przez PiS w 2015 r. wyborach parlamentarnych Piotr Gliński został posłem, wicepremierem i ministrem kultury.

Dziś powtórzony manewr z „premierem z tabletu" nie wzbudziłby już większego zainteresowania. Zostałby wyśmiany jako odgrzewany kotlet.

Dlatego trwają w PiS intensywne poszukiwania parlamentarzysty lub parlamentarzystki gotowych do zagrania tej roli.

Chętnych nie ma, bo potencjalni kandydaci boją się ośmieszenia, kiedy podczas głosowania wniosku o konstruktywnym wotum i kandydatury „premiera technicznego", parlamentarzyści Konfederacji dowodzonej przez Sławomira i Bosaka wstrzymają się od poparcia starszyzny z PiS.

A gdyby do tego jeszcze grono niechętnych prezesowi parlamentarzystów z PiS „zachorowało" w dniu głosowania – wtedy nawet poparcie posłanki Pauliny Matysiak medialnie nie wybrzmiałoby.

Gdyby jednak parlamentarzyści braunowskiej Konfederacji Korony Polskiej zdeklarowali, że taki manewr poprą, to reszta konfederatów, ziobrowców i „harcerzy" Morawieckiego też musiałaby zagłosować za takim wotum.

Za taką deklarację prezes Kaczyński gotów jest zakopać topór wojenny z braunowskim konfederatami. Chwilowo przynajmniej.

Ogonek kręci

Koło Poselskie Konfederacja Korony Polskiej w obecnym sejmie liczy jedynie trzech posłów. Przewodniczącym koła jest Włodzimierz Skalik, wiceprzewodniczącym Roman Fritz; a zwykłym członkiem Sławomir Zawiślak. Koło działa w ramach Konfederacji Wolność i Niepodległość. Nie ma już swej reprezentacji w Prezydium Sejmu RP, bo marszałek Czarzasty wykasował ich stamtąd.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Parlamencie Europejskim Konfederacja Korony Polskiej ma jednego eurodeputowanego: Grzegorza Brauna.

Za pensję eurodeputowanego Braun regularnie kontestuje zasady obowiązujące w Unii Europejskiej, reguły działania jej parlamentu. Stracił immunitet eurodeputowanego, czekają go rozprawy sądowe.

Skąd taka kieszonkowa partia polityczna budzi tak ogromne zainteresowanie pozostałych formacji politycznych i mediów?

Otóż w czasie ostatnich wyborów prezydenckich na Grzegorza Brauna zagłosowało ponad 1,2 mln obywateli.

W drugiej turze wyborów Braun jednoznacznie wezwał swych fanów do poparcia Karola Nawrockiego. Zapewne to głosy braunowców dały mu urząd Pierwszego Obywatela RP.

W przedwyborczych sondażach braunowska Konfederacja Korony Polskiej zwykle osiąga czwarty wynik. To sprawia, że wedle prognoz przyszła prawicowa koalicja antytuskowa nie ma szans uzyskania niezbędnej większości bez partii naczelnego antysemity III Rzeczpospolitej.

Partia Brauna osiąga tak dobre wyniki, choć jej lider nie obiecuje emerytom skokowej waloryzacji emerytur, mieszkań dla młodych, programu modernizacji polskiego przemysłu i rolnictwa.

Przeciwnie: Grzegorz Braun uważany jest za przywódcę szurów, foliarzy, wyznawców spiskowych teorii i wszelkich antysystemowych świrów.

Proponuje im „szeroki front gaśnicowy". Jednoczący przeciwników Żydów, Ukraińców, Niemców, osób LGBT, legalnej aborcji, Unii Europejskiej, urzędowej rusofobii, krytyki polityki prezydenta Donalda Trumpa, odgórnych zaleceń dyktujących Polakom, jak mają żyć.

Nie ma programu, bo jest antysystemowcem. Autentycznym dla reszty antysystemowców, bo stale przez kogoś prześladowanym.

Jest też Braun potrzebny wszystkim polskim formacjom politycznym.

Dla drużyny prezydenta Nawrockiego konfederaci Brauna mogą być ważnym dodatkowym sojusznikiem w przyszłej walce o przywództwo na prawicy ze starszyzną Kaczyńskiego.

Dla prezesa Kaczyńskiego konfederaci Brauna mogą być taktycznymi sojusznikami podczas debaty o konstruktywnym wotum nieufności wobec rządu Tuska. Ale strategicznie prezes Kaczyński może wykorzystać polityczne rozchwianie braunowców do dociskania jedności na swej prawicy. Nieodpowiedzialnego, nieprzewidywalnego, obrażającego amerykańskich sojuszników Brauna może przeciwstawić odpowiedzialnej i znów zjednoczonej prawicy.

Przyjdzie Braun i was zje

Straszny Braun może być pożyteczny dla premiera Tuska i jego propagandzistów. Mogą zaprezentować wiecznie hamletyzującej inteligencji, zgorzkniałym feministkom, liberałom, środowiskom LGBT i wszystkim nieusatysfakcjonowanym rządami koalicji pod przewodem Koalicji Obywatelskiej fundamentalną alternatywę.

Albo ruszycie ławą do urn i zagłosujecie na nas, na mniejsze zło, albo w efekcie waszej absencji przyjdą rządy prawicy z faszolem Braunem.

Podobnej retoryki mogą użyć liderzy Nowej Lewicy dążący do zbożnego dzieła stworzenia lewicowej koalicji wyborczej. Strach przed rządami Brauna też może zjednoczyć hamletyzujących lewicowców cierpiących na dziecięce choroby antysystemowości. W interesie lewicy zresztą.

Strach przed koalicyjnym Braunem może pomóc podzielonym parlamentarzystom Polski 2050 w pozostaniu w ławach koalicji dowodzonej przez premiera Tuska. A potem uzasadnianiu swych transferów politycznych.

Strach przed Braunem nieakceptowalnym przez amerykańskiego Wielkiego Brata może pomóc posłowi Mateuszowi Morawieckiemu i jego drużynie w stworzeniu koalicji wyborczej z resztą Konfederacji. Przy wsparciu prezydenta Karola.

Możliwy jest też inny wariant przyszłości króla antysystemowców.

Grzegorz Braun jest zawodowym reżyserem. Pochodzi z rodziny z żydowskimi korzeniami.

Jeśli on i jego drużyna dostaną propozycje udziału we władzy w zamian za wyrzeczenie się antysemityzmu i jeśli uzna, że władza warta jest chanuki, to sprytny Braun wyreżyseruje sobie wizerunek antysystemowca już bez gromkiego antysemityzmu.

Może nawet zapali świece chanukowe.

Polski rynek wyborców to 10 mln głosujących na drużynę Nawrockiego i 10 mln głosujących na drużynę Tuska.

Plus dodatkowy milion szurów, foliarzy, wyznawców spiskowych teorii i innych antysystemowych świrów.

W efekcie takiego podziału przyszłość Polski zależy od świrów.

PIOTR GADZINOWSKI

Wrzodu życie po życiu

I jak tu poważnie traktować obietnice polityków?

Polska Fundacja Narodowa – wehikuł promocyjny PiS-u – tak można by streścić genezę i pierwszy akt tej historii. Kiedy w roku 2016 Polska Fundacja Narodowa została powołana decyzją ówczesnego rządu Beaty Szydło, pomysłodawcą projektu uczyniono 17 spółek skarbu państwa. One miały wpłacać składki, fundować kampanie, promować nasz kraj i… budować markę Polski na świecie. W rzeczywistości PFN stała się machiną finansową, która pompowała setki milionów złotych z państwowych firm wprost w prywatne kieszenie i partyjne interesy.

Partyjna, choć narodowa w treści

„To nie była normalna fundacja. Relacje panujące wewnątrz bardziej przypominały sektę" – mówił były pracownik PFN, podkreślając, że większość ówczesnych pracowników była związana z partią rządzącą i bliskimi jej środowiskami. Fundacja dysponowała „pieniędzmi o charakterze publicznym", więc podlegała zasadom transparentności i społecznego nadzoru – ale w praktyce tego nadzoru brakowało. Kontrola wewnętrzna istniała wyłącznie na papierze. Umowy podpisywane były w ekspresowym tempie, nierzadko bez wymaganych opinii prawnych czy przetargów. Audytorzy, którzy próbowali zbliżyć się do dokumentacji, natykali się na mur.

Potężny strumień pieniędzy płynął do podmiotów i ludzi łatwo identyfikowanych z PiS. Jednym z najbardziej znanych projektów była kampania „Sprawiedliwe sądy", która – zamiast promować Polskę – informowała i ostrzegała przed sądami. Koszt? Ok. 8,4 mln zł. Efekt? Śledztwo prokuratorskie i wyrok sądu, że działano niezgodnie ze statutem.

W kolejnych latach fundacja przepuszczała miliony na spoty, których nikt nie oglądał, filmy, które nikogo nie zainteresowały, portale bez czytelników.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z publicznych bilansów wynikało, że budżet PFN wahał się od ok. 38 mln zł w roku 2022 do ponad 115 mln zł w 2019. Całościowy bilans fundacji – od momentu powstania do końca 2023 r. – przekroczył 633 mln zł.

Najbardziej spektakularne i groteskowe przykłady to programy „I Love Poland", „Polska 100 x 100", wydatki na amerykańską firmę PR-ową White House Writers Group – ponad 27 mln zł – oraz jacht, zakupiony i remontowany, który miał opływać świat, a który ostatecznie sprzedano za grosze, bo nikt nie umiał znaleźć dla projektu rynkowego uzasadnienia. Część projektów, takich jak „Opowieść o Polsce", nie została w ogóle ukończona mimo wydania ponad 5 mln zł. Fundacja płaciła również za opracowania i raporty, które nigdy nie zostały opublikowane.

PFN finansowała produkcję historycznych dokumentów i seriali, które przepadły bez echa. Organizowała eventy na targach zagranicznych przyciągających więcej ochroniarzy niż widzów. Jej kampanie – jak choćby „We are Poland" – miały promować Polskę w świecie, a kończyły jako slajdy pokazowe przesyłane między znajomymi z fundacji. Fundacja organizowała też wystawy w europejskich miastach, które odwiedzało mniej niż 100 osób. Niektóre z nich zawierały błędy rzeczowe lub techniczne, jak plakaty z literówkami w nazwiskach noblistów.

Przez lata kontrolerzy – nawet Najwyższa Izba Kontroli – alarmowali, że spółki skarbu państwa nie wiedziały, na co tak naprawdę idą ich pieniądze. Pojawiły się również informacje o tym, że część wydatków była zatwierdzana telefonicznie przez osoby niemające formalnych uprawnień.

eprasa.pl 769dc3e8be

Seksmisja Petru

I sześciu króli dupa, gdy wokół bab kupa

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Rok bez wyborów to rok stracony. Na szczęście Polska 2026 posiada Polskę 2050, jej założyciela oraz pretendentów do tronu. Dzięki Szymonowi Hołowni i jego ugrupowaniu możemy poczuć tak pożądane wyborcze emocje, choć głosować nie możemy. Niektórzy próbowali i cała elekcja w pizdu, tzn. połowa elekcji, druga tura. Jak na partię, która postuluje wybory online, to całkiem śmiesznie wyszło. Będzie powtórka, trafił się więc niespodziewanie wyborczy styczeń. Choć notowania Polski 2050 oscylują w granicach błędu statystycznego, to barwność liderów partii może powodować wrażenie, że mamy do czynienia z rozdającymi karty.

Lotny poseł

Nie wiemy jeszcze, kto wygrał, za to wiemy, kto przegrał. Przegrał Ryszard Petru – znowu.

Nie ma on szczęścia do przywództwa, chyba że liczy się prym wiedziony w memiczności. Wszystkie Ryśki to fajne chłopaki, ale Petru przesadził. Im bardziej chce pozować na poważnego polityka, tym bardziej mu to nie wychodzi. Wziąwszy pod uwagę, że ma jakieś osiągnięcia w biznesie, a oświadczenie majątkowe pokazuje, że biedy nie klepie, to aż dziw bierze, że tak mu nie idzie w polityce.

„W polityce, jak nie idzie, to nie idzie!" – mawia rotacyjna druga osoba w państwie, mając na myśli, że w końcu karta się odwróci i zacznie iść. Ale nie w przypadku Petru. Fakt, miał niezły start: pompowany był przez „Gazetę Wyborczą" jako „polski Kennedy". Ale nie wylądował z telemarkiem: jak swój amerykański pierwowzór zginął – na szczęście tylko politycznie – w zamachu. I to przeprowadzonym przez kobiety. Zmartwychwstał wprawdzie, ale tylko po to, by znów paść ofiarą matriarchatu.

Zaczęło się od love story. Jego sławetny wylot na Maderę z koleżanką partyjną (dziś małżonką) był początkiem nowego życia prywatnego i początkiem końca publicznego. Petru twierdził wprawdzie, że to wcale nie była Madera, ale ta wyspa weszła do obiegu i przylgnęła do niego jak przyszła żona na pokładzie samolotu. Niby nic wielkiego, ale wówczas w sejmie trwał strajk rotacyjny – posłowie ówczesnej opozycji okupowali pod koniec 2016 r. salę posiedzeń w związku próbą wprowadzenia zmian w organizacji pracy dziennikarzy i wykluczeniem z posiedzenia Michała Szczerby (marszałek Hołownia nie był zatem dziewiczym elementem rotacyjnym w tym budynku). Wyszło niezręcznie, bo Petru dopiero co krytykował posłów, którzy w tak ważnym dla Polski i demokracji czasie wyjechali sobie na wczasy, po czym został przyłapany z koleżanką w samolocie do Portugalii.

– Ryszard Petru wyjechał na wcześniej zaplanowany wyjazd, natomiast nie miał zaplanowanego dyżuru w sejmie. Sytuacja wygląda tak, że mamy protest rotacyjny, na zmianę nasi posłowie dyżurują – tłumaczyła go rzeczniczka Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer. Ta, która niedługo potem odebrała mu partię.

Teraz Lubnauer

Partyjną petrobójczynią była dzisiejsza wiceministra edukacji. Nowoczesna – partia założona i dowodzona przez Ryszarda Petru – padła demokratycznym łupem Lubnauer w wyborach władz partii w 2017 r. Najpierw zabrała mu klub, a później całą partię. To był szok dla twórcy formacji, bo nie dość, że wyrwano mu dziecko z rąk, to w dodatku przegrał z kobietą.

Petru – samiec alfa – nie mógł się pogodzić z takim upokorzeniem. Śmiać się z jego lapsusów językowych – proszę bardzo. Wyśmiewać poglądy? Nie ma sprawy. Ale przegrana z babami to ponad jego siły. Komentatorzy widzieli w tym znak czasu, bowiem po raz pierwszy na czele partii stanęła kobieta.

– Cała Nowoczesna jest zmianą stylu w polityce, jesteśmy ugrupowaniem ludzi odważnie mówiących o problemach, aktywnych i ceniących demokrację. A niektórzy mówią jeszcze, że Nowoczesna jest kobietą – ochoczo podchwyciła tę poetykę nowa przewodnicząca.

Petru nie dał za wygraną i stworzył nowe ugrupowanie „Teraz!". Miało być dla wszystkich, czyli dla nikogo. Założyciel obiecywał zadbać o losy zarówno przedsiębiorców, jak i pracowników oraz wykluczonych. Kompletny miszmasz programowy skazany był na porażkę. Zresztą sam ojciec założyciel nie traktował chyba nowej formacji zbyt poważnie.

> **– Ja teraz tworzę partię Razem – rzucił do reporterki TVN24 na korytarzu sejmowym. – Przepraszam: partię Teraz!, partię Teraz! – zreflektował się, dokładając kolejną cegiełkę do wieży swoich kompromitacji.**

Przy jego boku była wówczas Joanna Scheuring-Wielgus. W 2019 r. partię rozwiązano, a Petru wypadł z sejmu na cztery lata. Scheuring-Wielgus dostała się do parlamentu jako kandydatka Wiosny z listy SLD.

Rysiek z telenoweli

Wolną kadencję Petru spędził w biznesie, ale brak rozgłosu widocznie mu doskwierał, bo w 2023 r. wrócił do ław sejmowych jako poseł Trzeciej Drogi. A gdzie Petru, tam prędzej czy później pojawią się kłopoty i śmieszność. Znowu zamarzyło mu się przywództwo, ze skutkiem jak zawsze. Niepomny dotychczasowych porażek ponownie stanął do walki.

Kryzys ugrupowania Hołowni dał Ryszardowi kolejną szansę na zaistnienie. Zaistniał – znów pojawiły się propozycje wywiadów, znów o nim mówiono i pisano. Jego kandydatura nie zaimponowała jednak członkom Polski 2050 i wylądował w pierwszej turze na czwartym miejscu – wyprzedziły go trzy kobiety. Za nim był tylko Michał Kobosko.

Niezrażony porażką Petru wciąż mędrkuje i poucza, co należy zrobić, by Polska 2025 przetrwała.

– Ta telenowela za długo trwa i jak najszybciej musimy przejść do drugiej tury wyborów, wybrać przewodniczącą, bo są dwie kandydatki, i zamknąć ten etap, otworzyć nowy, być stabilnym koalicjantem, realizować program, który obiecaliśmy wyborcom, to jest podstawa – wykładał w Tefałenie. Każdemu życzymy takiej pewności i wiary w siebie, jaką ma ten weteran przegrywania.

Ryszard Petru stał się etatowym przegrywem polskiej polityki, ale dobry humor go nie opuszcza. Skoro nie ma szczęścia w polityce, to może ma w miłości. Miejmy nadzieję że w życiu prywatnym jego relacje z kobietami są mniej burzliwe niż w zawodowym.

I żeby nie było, Petru robił też rzeczy pożyteczne – np. usiadł za kasą w Biedronce w wigilię 2024 r. W ramach happeningu wprawdzie, ale i tak wykonał więcej pracy niż niejeden parlamentarzysta przez kilka kadencji. Rysiek lubi kasę, więc jest to miejsce w sam raz dla niego.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Szła Szłapka w czapce. Myślała: Zdałoby się dopierdolić Ziobrze. Ale Ziobrze dopierdalało się wczoraj, przedwczoraj i przez cały tydzień. A Romanowskiemu cały rok. No to może ich adwokatowi Lewandowskiemu?

Za co? Że się jąka. Ale się nie jąka. Że nie zna prawa? Ale zna. Że homo. Ale nie wiadomo, czy homo. Że pokurcz. Ale przecież nie pokurcz; gdyby Szłapka powiedziała, że Lewandowski jest pokurczem, to co by musiała powiedzieć o Szłapce. Nawet w czapce.

No to że Lewandowski to niby polski, a jak poskrobać, to ruski. I Szłapka napisała: „Lista kancelarii prawnych przeznaczonych dla obywateli Rosji w Polsce została opracowana przez Moskwę już po barbarzyńskiej napaści na Ukrainę. Widnieje na niej »KHANZADYAN LEWANDOWSKI & PARTNERS«. Ta sama kancelaria dziś broni Ziobry. Każdy sam wyciągnie wnioski".

Wyciągam wnioski, że na tym powinno się skończyć. Wyszłoby, że Szłapka to dureń, bo nie wie, czym się zajmują adwokaci.

Ale odezwał się mecenas Lewandowski – że nie wiedział, że jego kancelaria widnieje na liście. I wyszło, że nie tylko Szłapka jest durniem.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nieodłącznym elementem tej opowieści były także gigantyczne pensje i przywileje dla ludzi wokół PFN – dyrektorzy, prezesi, członkowie zarządów zarabiali dziesiątki tysięcy miesięcznie, a służbowe karty potrafiły posłużyć nawet do opłacania napiwków czy lotów biznes klasą. Do tego dochodziły koszty wynajmu biur w centrum Warszawy, opłacanie doradców, prawników i PR-owców. W sumie – imperium pozorów, które pochłaniało setki milionów bez kontroli. Wynagrodzenia członków rady sięgały ponad 30 tys. zł miesięcznie, a niektórzy łączyli funkcje z innymi intratnymi posadami w spółkach.

Niby trup, a żyje

Kiedy w grudniu 2023 r. PiS straciło władzę, jednym z głośnych haseł było szybkie zamknięcie PFN. W narracji Koalicji Obywatelskiej i Lewicy fundacja była „symboliczną maszynką do prania pieniędzy", „niewydolną strukturą PR-ową" oraz „reliktem państwowego klientelizmu". Padły obietnice likwidacji, audytów, rozliczeń.

Tymczasem fundacja, mimo usunięcia całej jej poprzedniej rady w lutym 2024 r., nie przestała działać. Zarząd – częściowo zmieniony – kontynuował swoją działalność. Zmieniono niektóre zapisy statutu, podmieniono ludzi i nazwiska, ale rdzeń struktury pozostał ten sam. Jakby wyprano garnitur, ale zapomniano o bieliźnie i skarpetkach.

> **Do grona osób decyzyjnych w PFN weszli ludzie związani z nową władzą. Na liście znalazły się nazwiska osób rekomendowanych przez środowiska Trzeciej Drogi, aktywistów obywatelskich oraz osób z zaplecza samorządowego.**

Nowe projekty PFN w latach 2024–2025 miały mieć nową jakość. Fundacja wsparła m.in. festiwal „Break in Classic" – nowoczesny przegląd muzyki klasycznej, objęła patronatem targi Game Dev – WePlay Culture Expo w Szanghaju, współfinansowała tournée Sinfonii Varsovii po Japonii. Opłaciła też tłumaczenie i wydanie tomu „Korespondencji Fryderyka Chopina". Koszt tych działań? Kilkanaście milionów złotych rocznie. Efekt? Trudny do zmierzenia. Brak zewnętrznych analiz, brak ewaluacji, brak mierników skuteczności. Były spoty, były relacje – ale bez zasięgu. Na konferencje jeździli ci sami eksperci. Materiały promocyjne trafiały głównie do uczestników wydarzeń.

Zarząd nowej PFN zgłosił też zawiadomienia do prokuratury. Utrzymywał, że poprzednicy wyrządzili fundacji szkody na ponad 30 mln zł. Pod lupą znalazły się m.in. projekty „Polska 100" i „Polskie Dziedzictwo – Wschód". Mówiono o nieuzasadnionym transferze pieniędzy, zawieraniu niekorzystnych umów, zatajaniu raportów, braku nadzoru. Ale fundacja, która te zarzuty formułowała, nadal otrzymywała kasę od spółek skarbu państwa. I zatrudniała nowych ekspertów, rzeczników, specjalistów od komunikacji.

Pojawił się również projekt rebrandingu PFN z nowym logo, hasłem „Nowa Polska – Nowa Opowieść", wizualizacją opartą na minimalistycznych grafikach i czcionkach rodem z kampanii start-upów. Fundacja zleciła opracowanie strategii promocyjnej zewnętrznej agencji za blisko 2 mln zł. Efekt? Broszura. Jedna. 38-stronicowa. Kolorowa. Wydrukowana na kredowym papierze. Rozesłana do ambasad.

Jednocześnie, jak się okazało, fundacja – choć utrzymywała, że działa teraz inaczej – nie wsparła żadną złotówką oddolnej kampanii promującej polską prezydencję w UE w 2025 r. Wniosek organizacji WłączeniPlus o współfinansowanie działań „We did it in Poland" został odrzucony – rzekomo z powodów formalnych. Kampania zyskała uznanie w Brukseli, Berlinie i Paryżu – ale nie w Warszawie. PFN pozostała głucha.

Fundacja nadal wynajmowała eleganckie biura w centrum stolicy, zatrudniała kancelarie prawne do analiz, agencje PR do obsługi mediów. Opozycja szybko zaczęła mówić o „zmianie szyldu, nie mechanizmu". PFN nie była już może agresywna w przekazie, ale nadal była potężną strukturą transferu pieniędzy publicznych do zamkniętego kręgu podmiotów i ludzi.

W imię czego?

Kiedy budżety spółek zaczęły być audytowane pod kątem efektywności wydatków, Polska Fundacja Narodowa stała się niewygodnym tematem. Coraz więcej firm – także tych związanych z nową ekipą rządzącą – zaczęło oficjalnie dystansować się od dalszego finansowania fundacji.

Grupa Azoty jako pierwsza wezwała publicznie do likwidacji PFN. W przesłanym oświadczeniu wskazała, że „zrzutki firm nie uwzględniają realnej sytuacji finansowej poszczególnych spółek", że „model finansowania jest niegospodarny", a „cele nie są osiągane w sposób efektywny". Spółka odmówiła przekazania fundacji pieniędzy na rok 2025.

PKP poinformowały, że do czasu zakończenia trwających audytów, kontroli KAS i postępowań prowadzonych przez CBA nie przekaże ani złotówki. Enea już w maju 2024 r. ogłosiła wycofanie się z PFN. PKO BP, po własnym wewnętrznym audycie, złożyło zawiadomienie do prokuratury w sprawie nieprawidłowości przy wcześniejszych przelewach – okazało się, że dokumentacja była niepełna, a nadzór iluzoryczny.

Z 17 fundatorów PFN realną kasę w 2025 r. przekazały jedynie trzy: Orlen, PZU i KGHM. Orlen zgodnie z umową przelewał 9,5 mln zł rocznie – ale też niechętnie.

Ministerstwo Kultury pytane o dalsze losy fundacji odpowiadało niejednoznacznie. Z jednej strony twierdziło, że „pomysł promowania Polski ze środków spółek był dobry", z drugiej – że „decyzje o likwidacji muszą zapaść na poziomie fundatorów". Resort przyznawał, że PFN nadal wspiera „istotne projekty kulturowe", ale nie była w stanie przedstawić spójnej strategii ani konkretnych wyników tych działań.

Nikt z polityków rządzącej koalicji nie chce odpowiedzieć na pytanie, dlaczego PFN nadal działa. Pewnie dlatego, że dobrze znają odpowiedź. Taką, która elektoratowi na pewno by się nie spodobała.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 769dc3e8be

Rozpaczliwie szukając bezpieczeństwa

Kosztowne absurdy polskiej polityki

Przy tobie czuję się bezpiecznie – to jeden z największych komplementów, jakie można usłyszeć od partnera czy partnerki. Poczucie zagrożenia, strach i lęk mogą zatruć nasze życie; są jak kamień w bucie, którego staramy się jak najszybciej pozbyć, aby odczuć ulgę. Podobnie jest nie tylko w przypadku jednostek.

Jeżeli państwo nie zapewnia obywatelom bezpieczeństwa, jest to państwo upadłe, które często bywa rozrywane konfliktami (nieraz krwawymi), padając łupem innych krajów, niekoniecznie sąsiednich (pozdrawiamy prezydentów USA, jakże ciepło wspominanych w Ameryce Południowej i Środkowej).

W Polsce, po pandemii koronawirusa i pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę, kwestie bezpieczeństwa są stawiane na pierwszym miejscu. I jak to u nas – czyni się to w głupi sposób, co wykażę poniżej.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Safety kontra security

Zygmunt Bauman zwraca uwagę na podstawową różnicę, jaka w języku angielskim występuje między dwoma sposobami pojmowania bezpieczeństwa: terminami *safety* i *security*. To pierwsze oznacza bezpieczeństwo osobiste, cielesne – sprowadzające się do tego, że nas nie okradną, nie porwą naszych dzieci, nie otruje nas żywność, którą jemy. To drugie to mniej więcej bezpieczeństwo socjalne: wolność od biedy, pewność zatrudnienia, dach nad głową czy nadzieja na spokojną starość na emeryturze.

Im bardziej państwo kapituluje w sferze *security*, tym bardziej skupia się na *safety*. W naszym kraju bezpieczeństwo socjalne leży i kwiczy. Prawie połowa populacji jest wykluczona społecznie, a ogromna rzesza ludzi to nędzarze, na półzwierzęco walczący o byt biologiczny.

Niby czasem ktoś krzyknie: „mieszkanie prawem, a nie towarem", ale mamy plagę gniazdowników, ludzi po trzydziestce mieszkających ze swoimi rodzicami, bez szans na własne lokum – zasoby nieruchomości komunalnych są niewielkie i niskiej jakości, a ceny mieszkań na wolnym rynku – zwłaszcza w miastach, gdzie jest praca – dla większości ludzi są zaporowe.

Nieomal z roku na rok spada względny poziom emerytur pojmowanych jako procent ostatniej wypłaty. Donald Tusk stanowczo zablokował pomysł ukrócenia nadużyć na rynku pracy – po chuj ludzie mają mieć emerytury na starość i pewniejsze zatrudnienie: liczy się głos biznesu, spijającego śmietankę i oczekującego wykształconej i potulnej siły roboczej, a wpływy do budżetu zapewnią frajerzy na etatach opłacający wszystkie daniny publiczne.

Co do służby zdrowia – nie chce nawet mi się strzępić języka (choć nieco miejsca poświęcę jej później).

Mamy za to mocarstwowe ambicje w dziedzinie bezpieczeństwa osobistego. W końcu od lat politycy – nie tylko Prawa i Sprawiedliwości – grzmią o potrzebie wzięcia za mordę społeczeństwa. A wszystko to zgodnie z zasadą wyłuszczoną przez pewnego miękiszona i uchodźcy na Węgrzech, Zbyszka Zero: uczciwi nie mają się czego obawiać. A to, że przy okazji wiele osób – np. zaćpanych lub w psychozie – kontakt z policjantami przypłaciło życiem? Cóż, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Ale prawdziwą orgią pogoni za *safety* są wydatki zbrojeniowe – tu nikt nie liczy w milionach złotych, tu się operuje miliardami dolarów, a ich dziesiątki fruwają w powietrzu jak skowronki na wiosnę. Weźmy takie czołgi – do 2030 r. będziemy mieć ich więcej niż Francja, Niemcy, Wielka Brytania i Włochy razem wzięte. Jest na bogato.

Prawie nikt w NATO nie wydaje takiego odsetka PKB na wojsko i zbrojenia jak Polska. Oczywiście duża część tych pieniędzy trafia do Stanów Zjednoczonych, które skądinąd mogą uniemożliwić jej użycie (bo kontrolują oprogramowanie), ale nic tak ładnie nie wygląda na paradzie wojskowej jak ważący 70 ton kolos na gąsienicach z falliczną lufą z przodu…

Gleba roku 2026

Kiedy sądzicie, że glebą roku 2026 jest Trump grożący inwazją Grenlandii lub Nawrocki bratający się z bandytą i naziolem, to śpieszę Was wyprowadzić z błędu. Glebą roku jest czarna ziemia, której nie należy mylić z czarnoziemem. Bo ziemia jest ważna, nie tylko dla bambrów mających setki hektarów czy Obajtka z Morawieckim, akumulujących grunty; lecz jest kluczowa z punktu widzenia bezpieczeństwa żywnościowego kraju.

Można stwierdzić, że obecnie problemem Polski jest nadprodukcja żywności – rynek mleczarski dusi się zbytnią podażą, a między styczniem a październikiem zeszłego roku wartość eksportu roślinno-zwierzęcego pobiła rekord, sięgając astronomicznej wielkości 48,5 mld euro, podczas gdy import sięgnął „jedynie" 32,1 mld euro. Wiele jednak wskazuje, że tak nie będzie wiecznie, tym bardziej że eksportujemy głównie mięso i jego przetwory (a to produkcja mocno obciążająca środowisko) oraz tytoń i wyroby tytoniowe (palenie papierosów już dawno wyszło z mody).

Jak wyjaśnia prof. Cezary Kabała w rozmowie z serwisem Gazeta.pl, czarna ziemia „jest to gleba z powierzchniową warstwą z dużą ilością humusu, czyli próchnicy, która ma ciemne, czarne lub brunatne zabarwienie. Humus powstaje z rozłożenia martwych szczątków organicznych, to jeden z kluczowych składników gleby, współdecydujący o jej żyzności, produktywności rolniczej i ogólnej randze przyrodniczej. Zarówno czarna ziemia, jak i czarnoziem wyróżniają się tym, że są szczególnie bogate w próchnicę. Grubość warstwy próchnicznej może wynosić w nich 30, a nawet i 70–80 cm. Inne polskie gleby mają zwykle nie więcej niż 25–28 cm grubości poziomu próchnicznego".

Duszczyk pomaga krawatem

Państwo niewrażliwe na grupy wrażliwe

12 stycznia Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji zorganizowało spotkanie z organizacjami pozarządowymi działającymi na rzecz migrantów i uchodźców. Spotkanie dotyczyło projektu ustawy zatytułowanej eufemistycznie „o wygaszeniu rozwiązań wynikających z ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa". Rząd dał sobie szansę na wysłuchanie uwag o wadliwych zapisach projektu dopiero po fali protestów NGO-sów, którym wcześniej w okresie świątecznym zostawił zaledwie kilka dni na przetrawienie tekstu ustawy (pisaliśmy o tym dwa tygodnie temu).

Obowiązująca od marca 2022 r. specustawa ukraińska była wielokrotnie nowelizowana. Ostatnia zmiana stanowiła, że ukraińscy uchodźcy są objęci ochroną tymczasową do 4 marca 2026 r. Tymczasem zgodnie z decyzją wykonawczą Rady UE z lipca 2025 r. ochrona ta obowiązuje do 4 marca roku 2027. Projekt MSWiA ma ten dylemat rozwiązać, choć analizując jego zapisy, nietrudno ulec przeświadczeniu, że będzie to rozwiązanie ostateczne.

Chociaż wojna trwa w najlepsze, rządzący uznali, że po czterech latach od jej rozpoczęcia sytuacja uchodźców w Polsce jest super stabilna, a instytucje publiczne wystarczająco ogarnięte w obsłudze nowo przybyłych cudzoziemców w ramach zwykłych procedur, toteż „dalsze utrzymywanie ustawy, zawierającej rozwiązania specjalne, może tworzyć ryzyko nierównego traktowania w relacjach do ogólnego reżimu prawa dla cudzoziemców". Jeszcze dalej na spotkaniu 12 stycznia poszedł odpowiedzialny za kwestie strategiczne w obszarze migracji Maciej Duszczyk z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Były wiceminister spraw wewnętrznych, odpowiedzialny także za poprzednie nowele specustawy ukraińskiej, stwierdził, że np. Niemcy ograniczyły wsparcie dla uchodźców wojennych z Ukrainy, a Czechy czy Słowacja prawie zakończyły. „Polska jest nadal państwem, którego wsparcie humanitarne w pewien sposób jest chyba najwyższe w Unii Europejskiej" – pochwalił się Duszczyk.

Otóż gówno prawda.

Owszem, wymienione przez niego kraje przechodzą od szerokiego wsparcia humanitarnego do bardziej selektywnego i integracyjnego z naciskiem na usamodzielnienie się uchodźców – ale nie postępują tak restrykcyjnie jak Polska. W dodatku nadal priorytetowo traktują grupy wrażliwe – osoby z niepełnosprawnościami, seniorów, samotnych rodziców z małymi dziećmi czy kobiety w ciąży – które Warszawa ma w dupie.

W wymienianych przez Duszczyka Czechach, Niemczech czy na Słowacji osoby z tych grup mogą liczyć na wyższe zasiłki, dłuższe wsparcie (w uzasadnionych przypadkach – bezterminowe), są traktowane priorytetowo przy zakwaterowaniu w ośrodkach zbiorowych, mają też prawo do różnych innych form pomocy: dopłat do ogrzewania, dostępu do opieki medycznej, rehabilitacji, usług opiekuńczych, asysty osobistej, dostosowania mieszkań dla osób z niepełnosprawnością… Wszystko to wynika z wymogów UE i świadomości, że grupy wrażliwe nie wejdą szybko na rynek pracy. Co więcej, jeśli sytuacja w Ukrainie się nie ustabilizuje, wsparcie dla nich prawdopodobnie utrzyma się najdłużej. Uprzedzając złośliwości – wkład pracujących Ukraińców do budżetów poszczególnych państw znacznie przewyższa wydatki na pomoc dla ich potrzebujących rodaków.

Tymczasem ukraińscy uchodźcy wojenni w Polsce mogą liczyć na pomoc tylko, jeśli spełnią wyśrubowane wymogi. Nowe przepisy nie zauważają niepełnosprawnych bez polskiego orzeczenia (wyrobienie glejtu trwa miesiące), osób w kryzysie zdrowia psychicznego, rodzin wielodzietnych, uchodźców, którzy doświadczyli tortur lub przemocy w kraju pochodzenia. Rzecznik praw obywatelskich zaznaczył, że projekt „nie przewiduje mechanizmów dokonania indywidualnej oceny sytuacji danej osoby". Na resorcie nie zrobiło to wrażenia. Grupy uprawnione do pomocy „określono w taki sposób, aby nie tworzyć sytuacji uprzywilejowanej względem praw polskich obywateli".

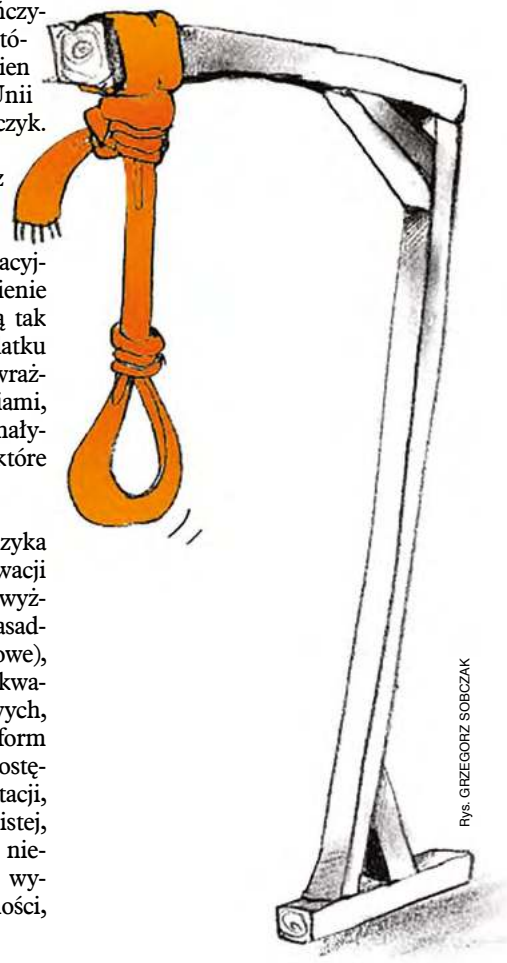

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Podczas styczniowego spotkania MSWiA wielkodusznie zapowiedziało, że wraz z innymi resortami pochyli się nad grupami wrażliwymi. Jednocześnie politycy podkreślili, że „za każdym z tych przypadków kierują się konkretne koszty finansowe dla poniesienia z budżetu państwa". Z tego też tytułu po wygaśnięciu specustawy ukraińskiej uchodźcy mieliby ograniczony dostęp do systemu opieki medycznej. Pomoc przysługiwałaby tylko ubezpieczonym (czyli podobnie jak obywatelom polskim), mieszkańcom ośrodków zbiorowego zakwaterowania oraz dzieciom do ukończenia 18. roku życia. Wszystko wydaje się mieć ręce i nogi – kłopot polega na tym, że na lodzie pozostaną ci, którzy do Polski dopiero przyjadą. Projekt przewiduje wyjątki dla osób ze statusem PESEL UKR, które były ofiarami tortur, gwałtu lub innych poważnych form przemocy psychicznej, fizycznej lub seksualnej. Jednak, jak wskazują organizacje pozarządowe, próżno szukać w przepisach, kto i w jaki sposób ma ustalić, jak osoba z takim doświadczeniem ma to wykazać.

Żeby było mniej zabawnie, według nowych przepisów osoby, które chcą zostać objęte ochroną czasową w Polsce, miałyby 14 dni na złożenie wniosku o PESEL ze statusem UKR; w przeciwnym razie Polska uzna, że z ochrony rezygnują. RPO odpowiada, że pomysł jest niezgodny z prawem Unii Europejskiej, które stanowi, że ochrona czasowa wygasa wyłącznie z mocy decyzji Rady Unii Europejskiej albo po upływie maksymalnego okresu jej obowiązywania.

W listopadzie 2025 r. po cichu, na etapie prac sejmowej komisji administracji, wprowadzono zapis, że małoletni bez opieki (do 15. r.ż.) ubiegający się o ochronę międzynarodową (status uchodźcy) może zostać umieszczony – zamiast w pieczy zastępczej lub placówce opiekuńczej – w ośrodkach Straży Granicznej. Przekładając na polski,

małolat bez rodziców może trafić do pierdla dla cudzoziemców na okres od pół roku do dwóch lat, jeśli Straż Graniczna złoży taki wniosek, a sąd go uwzględni. Prawo weszło w życie 1 stycznia 2026 r.

Przepisy są niezgodne z Konwencją o prawach dziecka (art. 37 – zakaz detencji dzieci) i Europejską Konwencją Praw Człowieka. Poprawka została dodana do ustawy, która pierwotnie dotyczyła głównie zatrudniania cudzoziemców i wydawania wiz. Wprowadził ją ówczesny wiceminister MSWiA Maciej Duszczyk, opisując jako „zmianę o charakterze informacyjnym". Pan Duszczyk w social mediach zachęca do licytacji „dla dzieciaczków" swojego krawata w ramach WOŚP i „wsparcia ukraińskich przyjaciół" przez zbiórkę kasy na agregaty dla Kijowa. Piękny gest.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 769dc3e8be

W skrócie: czarna ziemia może dać świetne plony, jeśli kontrolujemy jej uwilgotnienie. Czarne ziemie stanowią 4 proc. gruntów ogółem, a może jedynie 2 proc. W obliczu zmian klimatu i susz czarne ziemie stają się szczególnie cenne jako rezerwa żywnościowa kraju. Załóżmy, że w kraju – w obliczu wojny – drastycznie spada dostępność nawozów: wtedy pojawi się nieomal natychmiast problem braku jedzenia, bo większość gleb w kraju wydaje plony dzięki intensywnemu nawożeniu.

Zamiast myślenia w kategoriach długofalowego bezpieczeństwa żywnościowego czarne ziemie, często znajdujące się blisko aglomeracji miejskich czy przemysłowych, są bezpowrotnie tracone – na ich miejscu powstają nieruchomości, nie tylko mieszkalne, ale powierzchnie magazynowe. Jak podkreśla prof. Kabała, „uszczelnienie ochrony najbardziej produktywnych gleb, będących naszym dobrem narodowym, jest decyzją polityczną o długofalowym znaczeniu”.

Chory system zdrowotny

Podczas gdy politycy przerzucają się coraz większymi kwotami, niewyobrażalnymi nawet dla osób majętnych, wydawanymi na rakiety, samoloty itd., nikt nie powie głośno, że w razie wojny polski system publicznej ochrony zdrowia stanie się skrajnie niewydolny. Jakie są plany na wypadek konfliktu zbrojnego, chciałoby się zapytać ministrę zdrowia (kimkolwiek by ona była).

Kolejni ministrowie i ministry zdrowia chcą w czarodziejski sposób ratować system, w którym niektórzy lekarze mają górę kasy, składka zdrowotna jest skandalicznie niska, a dziura w budżecie NFZ wciąż rośnie. I robią dobrą minę do złej gry, nie potrafiąc podjąć konkretnych, rzeczowych działań, nastawionych na długofalową poprawę sytuacji i stabilizację systemu

Jak czytamy na stronie „Rynku Zdrowia”, „eksperci są zgodni, że jednym z najpoważniejszych wyzwań w tym kontekście jest zauważalny deficyt suwerenności lekowej. Polska jest w stanie zaspokoić zaledwie jedną trzecią krajowego zapotrzebowania na podstawowe leki, co czyni ją wysoce zależną od importu substancji czynnych (API) i globalnej sytuacji politycznej oraz logistycznej. Doświadczenia z pandemii COVID-19, które doprowadziły do załamania łańcuchów dostaw, jasno pokazały, że dostępność farmaceutyków nie jest rzeczą oczywistą”.

Pomijając brak odpowiedniej w razie wojny liczby miejsc w szpitalach, karetek czy personelu medycznego, trzeba wskazać na fakt, że działania zbrojne demolują istniejący system, prowadząc do wzrostu lekooporności, przerywania terapii. Przydałyby się też masowe szkolenia z udzielania pierwszej pomocy, które zapewne uratowałyby więcej istnień ludzkich niż kolejny czołg czy śmigłowiec.

Realia są takie, że wedle sondażu IBRiS prawie połowa rodaków uważa, że w zeszłym roku sytuacja w służbie zdrowia pogorszyła się, nieco ponad 40 proc. sądzi, że się nie zmieniła, a całe 5,5 proc. mniema, że się poprawiła.

Jak mówił w listopadzie ub.r. na Komisji Zdrowia poseł Janusz Cieszyński: „Według raportu przygotowanego przez Wojskowy Instytut Medyczny mamy do czynienia z sytuacją, w której szpitale, szczególnie we wschodniej części Polski, nie są gotowe na udzielanie świadczeń opieki zdrowotnej w razie wystąpienia sytuacji kryzysowej, w szczególności działań wojennych. Chodzi o to, aby stworzyć narzędzie, które da im możliwość realizacji tych świadczeń i utrzymania ciągłości działania”.

Funkcjonowanie służby zdrowia już jest problematyczne, szpitale zadłużają się, bo aneksy NFZ nie pokrywają kosztów, jakie muszą one ponosić. Jeśli na wizytę u specjalisty – w trybie pilnym! – w ramach systemu publicznego czeka się miesiącami, na rehabilitację na NFZ (na cito!) 8–10 miesięcy, to co się stanie, gdy rakiety spadną na Warszawę czy Katowice? To pytanie czysto retoryczne…

Wolność kontra bezpieczeństwo

Jest sprawa bardziej fundamentalna – chciałoby się rzec filozoficzna, choć mająca przyziemne konsekwencje. Już Sigmund Freud zauważył, że praźródłem wszelkich lęków jest świadomość własnej śmiertelności, a człowiek próbuje jednocześnie osiągnąć dwie sprzeczne wartości: wolność i bezpieczeństwo. Im jest bardziej wolny, tym bardziej zagrożony, im bezpieczniejszy, tym bardziej zniewolony.

Warto pamiętać, że politycy potrafią w mistrzowski sposób przenosić nieuświadamiane niekiedy lęki społeczne na pole rozwiązań z zakresu bezpieczeństwa osobistego. A jak powtarzał niemiecki socjolog Ulrich Beck, nie ma biograficznych rozwiązań problemów systemowych. Nikt jednostkowo nie rozwiąże problemu zmian klimatycznych – a w Polsce susze już spowszedniały – czy zatrucia plastikiem. Nie mam nic przeciwko segregowaniu w domu śmieci czy oszczędzaniu wody, lecz to plasterek na trypra.

Bez bezpieczeństwa zapewnianego przez sieć wsparcia społecznego ludzka wolność, swoboda dokonywania różnych wyborów – często dopiero po fakcie okazuje się, że niemądrych – będzie nic niewarta. Najwyższy czas odejść w Polsce od rozumienia bezpieczeństwa wyłącznie w kategoriach wojskowych – bo inaczej nie będziemy mieli ani wolności, ani bezpieczeństwa.

KATARZYNA KOENIG

Dzieło Boże

Klucz do Trumpa

Pani Dominika Chorosińska ujawniła na Facebooku kulisy procesów decyzyjnych prezydenta USA Donalda Trumpa.

Otóż napad wojsk USA na Wenezuelę i porwanie jej prezydenta wraz z małżonką to w istocie Dzieło Boże.

Bo prezydent Trump i jego administracja realizują tam jedynie wolę Boga.

Oczywiście taką opinię można by od razu olać. Przecież Facebook roi się od wpisów przeróżnych świrusek.

Ale pani Chorosińska, niegdyś gwiazda serialu „M jak miłość” jest obecnie posłem sejmu, dwukrotnie wybrana tam z listy PiS. A także byłym ministrem kultury i dziedzictwa narodowego w trzecim, chwilowym rządzie Mateusza Morawieckiego.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jest też niewątpliwym zapleczem intelektualnym PiS.

„To co dziś widzimy” – wnikliwie zauważa na Facebooku poseł Chorosińska, komentując działania Trumpa – „jest owocem tego, że wierzący w Wenezueli uniżyli się, modlili i wołali do Boga

i dokładnie tak, jak mówi Pismo: »Jeśli mój lud, który jest nazywany moim imieniem, ukorzy się i będzie się modlił, wysłucham go z nieba i uzdrowię jego ziemię«. Dla wielu to znak, że Wenezuela zaczyna nowy rozdział”.

Dla uwiarygodnienia swej wizji pani Chorosińska podała źródło cytatu. To Biblia. Druga Księga Kronik, która opisuje dzieje Żydów od panowania króla Salomona do wydania dekretu perskiego króla Cyrusa o powrocie Żydów do ich ojczyzny.

Biblia uważana jest za świętą księgę przez wierzących Żydów i chrześcijan, a także polskich katolików.

Niestety, pani poseł Chorosińska nie wspomniała, którego boga wolę prezydent Trump w Wenezueli właśnie zrealizował.

Boga żydowskiego, amerykańskich chrześcijan, czy polskich katolików ?

To ważne, bo polska klasa polityczna nadal głowi się, jak wpływać na decyzje swego amerykańskiego suwerena.

A przecież odpowiednio skierowane modlitwy mogłyby pokierować prezydentem Trumpem przy wydawaniu korzystnych dla Polski decyzji.

Pani Chorosińska nie wspomniała też, jakimi rezultatami zakończyły się wcześniejsze „Boże interwencje” prezydentów USA w Korei, Wietnamie, Afganistanie, Libii, Haiti, Somali, Iraku, Syrii.

Cóż, ofiary błędów lekarzy leżą na cmentarzach, a ofiary ogłupiających mediów zasiadają w sejmie.

GAD

Działka rozbrojona

Opowieści rządu o inwestowaniu w bezpieczeństwo są mocno przesadzone

Państwo ma różne talenty. Potrafi na przykład z rozmachem przesuwać terminy, powoływać rady, pisać strategie i produkować prezentacje. Gorzej idzie mu z rzeczami prostymi, jak niepsucie tego, co jeszcze działa. Widać to zwłaszcza wtedy, gdy władza patrzy na firmę nie jak na miejsce pracy i produkcji, tylko jak na atrakcyjny grunt. Wtedy okazuje się, że dla państwa więcej warta jest ziemia pod zakładem niż to, co zakład robi. A jak już tak jest, to strach się bać, co władza, opowiadając o szybkim rozwoju gospodarki w 2026 r., chce zrobić naprawdę.

Nie da się

Oto bowiem „Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy Stomil Poznań zatwierdziło rozpoczęcie likwidacji spółki” – informuje Polska Grupa Zbrojeniowa, czyli główny akcjonariusz firmy. Słowo „zatwierdziło” brzmi jak podpis pod protokołem, a nie jak decyzja o zamknięciu zakładu z niemal stuletnią historią. W komunikacie PGZ czytamy, że „likwidacja spółki będzie procesem nadzorowanym przez akcjonariuszy, stopniowym, długofalowym i prowadzonym zgodnie z przepisami prawa”. Czyli w skrócie: zamykamy, ale kulturalnie.

To jest najpiękniejsze w państwowych likwidacjach – zawsze są „transparentne” i zawsze z „poszanowaniem pracowników oraz lokalnej społeczności”. Zawsze też jest zapewnienie, że „proces ten, w przeciwieństwie do ewentualnego postępowania upadłościowego, pozwala na zachowanie pełnej kontroli nad tempem i kierunkiem działań”. Czyli państwo tłumaczy, że jak już kogoś topi, to przynajmniej pilnuje, żeby nie chlapało.

Oczywiście pojawia się też klasyk: likwidacja nie znaczy, że wszystko zniknie. „Likwidacja spółki nie oznacza automatycznego wygaszenia wszystkich jej kompetencji” – uspokaja PGZ i dodaje, że analizuje „możliwość wydzielenia Zorganizowanej Części Przedsiębiorstwa”. W tłumaczeniu na polski: może przeniosą część ludzi i trochę sprzętu gdzie indziej, a resztę terenu da się zagospodarować. W komunikacie padają nawet konkretne kierunki: Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne albo H. Cegielski. To brzmi jak troska, ale jednocześnie jest przyznaniem, że firma jako firma ma zostać rozmontowana na czynniki pierwsze.

A teraz najlepsze! PGZ mówi o poszanowaniu pracowników, ale już jej prezes przyznaje w radiu, że przywrócenie rentowności wymagałoby „całkowitej zmiany technologii produkcji”, co wiąże się z „ogromnymi kosztami”. I tu w zasadzie można by dyskusję zakończyć, bo państwo nie lubi ogromnych kosztów wtedy, kiedy miałyby uratować produkcję. Ogromne koszty są fajne, gdy idą na coś, co da się pokazać na konferencji. Na modernizację zakładu – jakoś mniej.

Prezes PGZ mówi też coś jeszcze: „Patrzymy na te ostatnie 10 lat, kiedy zabrakło tego impulsu rozwojowego, kiedy zabrakło decyzji dotyczących inwestycji”. Czyli od dawna wszyscy wiedzieli, że zakład się starzeje, ale nikt nie miał ochoty wydać pieniędzy na to, żeby go postawić na nogi. Potem można już tylko rozłożyć ręce i powiedzieć – nie da się.

Nie ma wyjścia

Zakład ma 97 lat. Kiedyś pracowało tam ok. 3,5 tys. osób. Dziś zatrudnia 119, z czego około 70 jest związanych z produkcją. Jeden z pracowników mówi mediom wprost: „Pracujemy w zakładzie ustawionym technologicznie pod wielką produkcję z okresu PRL. Budynki trzeba ogrzać, a to także sporo kosztuje, bo nigdy nie przeszły termomodernizacji”. I tu jest sedno. Państwo mówi „koszty”, a człowiek mówi „warunki”. Tyle że ten sam pracownik dodaje coś, co w normalnym kraju powinno zamykać dyskusję o likwidacji: „Nadal produkujemy rzeczy potrzebne m.in. polskiej i ukraińskiej armii, jesteśmy niezbędni dla zapewnienia potencjału obronnego w naszych niestabilnych czasach”.

I co robi państwo, gdy zakład wytwarza elementy wojskowego sprzętu w czasie wojny za granicą? Ogłasza likwidację. Pracownicy piszą list do ministra obrony, ostrzegając, że „likwidacja stanowiłaby poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa poprzez przerwanie łańcucha dostaw komponentów militarnych oraz utratę kompetencji produkcyjnych”. W liście pada też rzecz najważniejsza: odbudowa takich kompetencji byłaby „procesem kosztownym, wieloletnim i obarczonym ryzykiem niepowodzenia”. Czyli dokładnie tym, czego władza nie znosi – długiej roboty, która nie daje szybkiego efektu medialnego.

W tle jest jednak coś, co brzmi jak

odpowiedź na pytanie „po co to wszystko?”. Ziemia. Stomil zajmuje ok. 12 hektarów na poznańskiej Starołęce, dobrze skomunikowanych i przeznaczonych pod zabudowę mieszkaniową. Pracownicy mówią wprost, że w procedurze likwidacji „chodzi o atrakcyjne grunty”.

I tu robi się naprawdę ciekawie.

Bo w 2023 r. grunty Stomilu „za ponad 100 mln zł zostały sprzedane jego właścicielowi, czyli do PGZ”. Czyli państwowy właściciel kupił od państwowej spółki ziemię, na której ta spółka działa. A pracownik tłumaczy: „Tak naprawdę do zakładu trafiło tylko kilka milionów złotych, bo reszta poszła na nasze długi wobec PGZ oraz na zabezpieczenie przyszłych wyburzeń starych obiektów oraz oczyszczenie terenu”. Trudno o lepszy obraz tego, jak działa państwowy kapitalizm – zakład sprzedaje ziemię, pieniądze wracają do właściciela, a zakład dalej jest przestarzały, więc teraz trzeba go zamknąć. A ziemia zostaje.

PGZ sama przyznaje, że „jednym z kluczowych momentów była transakcja z 2023 r. polegająca na sprzedaży nieruchomości”. Dodaje, że „uzyskane środki mogły zostać wykorzystane do wdrożenia programu restrukturyzacyjnego lub modernizacji zakładu. Niestety tak się nie stało”. To jest zdanie tak piękne, że powinno wisieć nad wejściem do każdej państwowej spółki. Mogło, ale się nie stało. A skoro się nie stało, to dziś „nie ma wyjścia”.

Oczyścić teren

Władza zapewnia, że „priorytetem jest przeprowadzenie wszelkich działań z najwyższym poszanowaniem dla pracowników, z transparentną komunikacją i realnym wsparciem”. W praktyce wygląda to tak, że likwidacja ma potrwać ponad rok, część z ponad 100-osobowej załogi ma dostać propozycję przeniesienia, a reszcie zaproponuje się program dobrowolnych odejść. Dobrowolnych, czyli takich, w których człowiek sam wybiera między odejściem a perspektywą, że i tak go wyrzucą.

Do tego dochodzi klimat niepewności. Pracownik mówi: „Takie zapewnienia o kontynuacji produkcji słyszymy, ale w załodze panuje frustracja. Nie wiemy, co nas czeka, część osób może odejść i wtedy bardzo trudne będzie kontynuowanie produkcji w innym miejscu”.

W tle jest jeszcze jedna historia, która brzmi jak metafora całej sprawy – pożar z marca 1972 r., który był gaszony sześć dni, a gruz i materiały gaśnicze po nim są zatopione w stawie na terenie zakładu. To bomba ekologiczna, której nikt latami nie ruszył. To jest właśnie państwowe podejście do problemów – zakopać, zalać, odsunąć, a potem się dziwić, że po dekadach śmierdzi. I wtedy ogłosić, że trzeba oczyścić teren.

Wygląda, że dla władzy ziemia ma większą wartość niż produkcja. A skoro tak, to gdy dziś słyszymy opowieści o „szybkim rozwoju gospodarki w 2026 r.”, warto pamiętać, że w państwowym słowniku „rozwój” bywa rozumiany jako przebudowa. Najlepiej przebudowa terenu pod nowe funkcje. Produkcja jest kłopotliwa, bo wymaga inwestycji, ludzi i technologii. Działka jest prosta: stoi, czeka, rośnie na wartości.

Stomil nie dożyje setnych urodzin w 2028 r. I to jest w sumie puenta do wszystkich rządowych bajek o nowoczesnym państwie. Nowoczesność polega dziś na tym, że zamiast modernizować to, co mamy, łatwiej jest to zamknąć i sprzedać grunt. A potem mówić, że „kompetencje zostaną przeniesione”, „proces będzie nadzorowany” i „lokalna społeczność jest ważna”.

Ważna jest. Ale tylko wtedy, gdy trzeba ją uspokoić, zanim wjadą koparki.

TOMASZ BOROWIECKI

Ilustr. KROKODYL

eprasa.pl 769dc3e8be

ETYKA BEZBOŻNA

Idzie nowe WC świat

Gdy rzeczywistość przerasta wyobraźnię i dzieją się rzeczy, których nie tylko nie można było przewidzieć, lecz takie, o których roić mógł jedynie umysł fantasty i ignoranta, to znaczy, że naprawdę jest źle. W roku 1938, gdy sobie pod protektoratem Hitlera najechaliśmy Czechosłowację i anektowaliśmy 800 km kw. jej terytorium, nikt nie mógł przypuszczać, że kilkanaście miesięcy później niemieckie bomby spadną na Warszawę. Mózg człowieka nie bierze pod uwagę abstrakcyjnych i mało prawdopodobnych scenariuszy. Jest optymistą, który myśli, że mimo wielkich zagrożeń tu i teraz (trzeba być czujnym!), w dalszej przyszłości na pewno będzie dobrze. W przeciwnym razie nie dałoby się przecież żyć. Będzie dobrze, tyle że w końcu w ramach tego „dobrze" umrzemy. Jakże by można ciągle o tym myśleć?

Bardzo możliwe, że dziś znowu jesteśmy w przededniu wydarzeń, których nie potrafimy sobie wyobrazić, bo są na to zbyt absurdalne i zbyt straszne. A właściwie już teraz dzieją się takie właśnie – straszne i absurdalne – rzeczy. Kto mógł przypuszczać, że NATO pęknie jak bańka mydlana, bo USA bezceremonialnie zażądają oddania im terytorium należącego do jednego z krajów członkowskich? Nigdy w życiu nie pomyślelibyśmy o takiej sytuacji, że kraje europejskie będą wysyłać wojsko na Grenlandię, żeby zniechęcić Stany Zjednoczone do inwazji na tę wyspę i jej zaanektowania.

Wydaje się, że wracają czasy (a takie „czasy" to trwały od zarania dziejów aż do połowy XX w.), w których silniejsi po prostu napadają na słabszych i biorą, co chcą. Polityka oparta na przemocy powraca, i to pod pełnymi żaglami. Do czego to może doprowadzić? Ano do tego, co dobrze znamy z historii, czyli do „koncertu mocarstw" – podziału świata na „strefy interesów" kilku najpotężniejszych państw. Los człowieka w takim systemie zależy od tego, jak zasobna i „oświecona" jest metropolia, której podlega. Większość ludzi, którzy zamieszkiwali naszą planetę w ciągu minionych pięciu tysięcy lat, znajdowało się w takim położeniu. Albowiem wynalazek państwa od samego początku był w zasadzie równoznaczny z wynalazkiem imperium. Małe państewka są może nawet nieco późniejsze niż rozległe struktury władzy, jak imperium akadyjskie, babilońskie i egipskie. W każdym razie starożytni Grecy jeszcze uganiali się za jeleniami wokół Olimpu, gdy na tronach dalekiego i bliskiego wschodu rozpierali się potężni cesarze.

Skoro tak, to w sumie czemu ten Trump nie może sobie – wzorem antycznych i nowoczesnych cesarzy – wziąć tej cholernej Grenlandii? Lew też nie jest za mądry i ma pomarańczową czuprynkę, a łapie śliczne antylopki i nikt nie ma do niego o to żalu.

To, co stoi na przeszkodzie takiej zupełnie naturalnej z historycznego punktu widzenia inwazji, samo w sobie jest bardzo nienaturalne. Tym czymś jest „prawo narodów" i wyrastająca z niego współczesna koncepcja państw narodowych, których suwerenność i integralność terytorialna jest gwarantowana prawem międzynarodowym.

Jednym z pierwszych promotorów takiego ustroju i ładu międzynarodowego był filozof Immanuel Kant, który opisał go w małej książeczce, zatytułowanej „O wiecznym pokoju". Jeśli wyrzekniemy się najazdów na sąsiednie i niesąsiednie państwa, uznając ich prawa, to nie będzie wojen – o to mniej więcej tu chodzi.

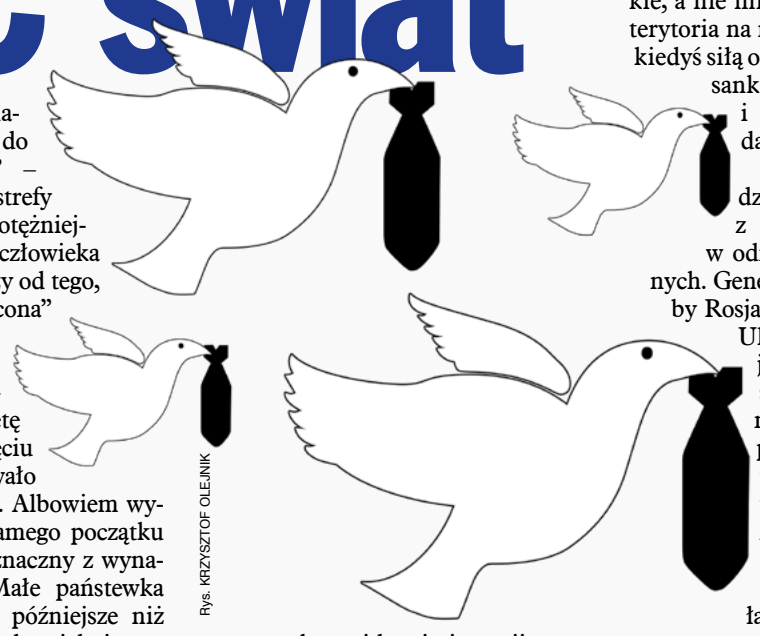

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niestety, szkopuł w tym, że tego rodzaju układ można zawrzeć w pewnym konkretnym momencie historycznym – a przecież w każdym momencie historycznym jest akurat tak, że wiele państw ma swoje granice takie, a nie inne, bo albo straciły jakieś terytoria na rzecz sąsiadów, albo im je kiedyś siłą odebrały. I co? Mamy teraz sankcjonować dawną przemoc i zabronić jakichkolwiek dalszych zmian?

Ludzkość generalnie zgodziła się na taki układ, ale z ważnym wyjątkiem: nie w odniesieniu do spraw lokalnych. Generalnie byłoby fajnie, gdyby Rosja nie odbierała terytorium Ukrainie, a USA Danii, lecz jeśli chodzi o nasze własne sprawy z sąsiadami, to już niekoniecznie. Autorytet prawa międzynarodowego jest wielki, dopóki nie dotyczy naszych interesów. A one są tego rodzaju, że chciałoby się, aby to, co nam obca przemoc wzięła, szablą odebrać.

Mapa polityczna jest jak kabiny w publicznym szalecie. Wszystkie są zajęte, każdy wlazł, gdzie mógł, zamknął się i woła „zajęte!". Chodzą, pukają, w drzwi kopią, ponaglają, a ty wołasz zduszonym głosem „zajęte!".

No to się pośpiesz, chłopie, bo teraz ja chcę zająć! Każdy, kto był w wojsku, na koloniach albo w ZSRR, wie, o co chodzi. Ktoś kiedyś zajął jakąś ziemię i ma. A jak ma wystarczająco długo, to uważa, że już na zawsze mu się należy.

Trump chce Grenlandii, bo chce być jak pierwsi prezydenci – poszerzać Stany terytorialnie. To kaprys i samowola. Ale czyż nie było samowolą ogłoszenie przez Danię, że Grenlandia jest ich, bo akurat to ich statki dopłynęły tam 500 lat temu?

Taki właśnie argument podnosi Trump. Oczywiście jest on niedorzeczny, gdyby pozwolić go stosować wszystkim. Wtedy USA musiałyby całkiem się zwinąć i oddać swoje terytorium Indianom albo komukolwiek. Prawdą jest natomiast to, że współczesne prawa poszczególnych narodów i państw do ich terytoriów są generalnie umowne i arbitralne. Nie polegają na tym, że im się każda piędź ziemi historycznie należy, lecz na tym, że jakiś czas temu, po II wojnie światowej, przyjęliśmy (zresztą pod naciskiem USA) taki ład międzynarodowy, że aktualne granice uznajemy za nienaruszalne, aby tylko uniknąć wojen. Była to pewnego rodzaju umowa społeczna, zawarta w imieniu narodów świata przez polityków. Jej przypieczętowaniem było powstanie ONZ.

Niestety, umowy mają to do siebie, że nie są wieczne. Są „umowne", co oznacza, że nie święte, lecz arbitralne. Umówić się można tak bądź inaczej. I wygląda na to, że nasza wielka pokojowa umowa sprzed 80 lat właśnie została wypowiedziana przez jej najważniejszego gwaranta. No i trzeba będzie na nowo pozajmować kabiny w WC tego świata.

JAN HARTMAN

Pomarańczowy gołąb pokoju

Biznes na cmentarzysku

Donald Trump ogłosił składy Rady Pokoju oraz podległych jej struktur w ramach drugiego etapu wygaszania wojny izraelsko-palestyńskiej. Wykreowany przez Trumpa palestyński rząd techniczny przypomina kolonialny samorząd okupacyjny, a sama Rada ma stać się w przyszłości konkurencją dla ONZ.

Skurcze przepowiadające

Rada Pokoju to międzynarodowy organ powołany do rozbrojenia Hamasu, nadzoru, stabilizacji i powojennej odbudowy Gazy. Inicjatywa została zatwierdzona rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ w listopadzie 2025 r. w ramach 20-punktowego planu pokojowego, który przynajmniej z założenia miał zakończyć izraelskie ludobójstwo w Palestynie.

16 stycznia Biały Dom opublikował szczegóły inicjatywy. Struktura projektu opiera się na czterech filarach: Radzie Pokoju kierowanej przez Donalda Trumpa, Radzie Wykonawczej, Zarządzie Wykonawczym Gazy i Narodowym Komitecie Administracyjnym Strefy Gazy (NCAG). Amerykańska aktywność nie spodobała się premierowi Izraela, którego armia od czasu zawieszenia broni w październiku 2025 r. zdążyła unicestwić blisko pół tysiąca Palestyńczyków. Binjamin Netanjahu z troski o swoje interesy i żądzę czystki etnicznej najpierw kąśliwie określił manewr Trumpa „deklaratywnym" i „symbolicznym", a chwilę później się wkurwił. Bibi wyraził stanowczy sprzeciw wobec angażowania do pokojowej misji osób związanych z Turcją i Katarem.

Netanjahu w trybie pilnym wezwał swoich partnerów koalicyjnych, aby przeanalizować sytuację, a izraelskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało poinstruowane, żeby formalnie zakwestionować nominacje z USA.

Zupełnie niepotrzebnie. Waszyngton przedstawił skład osobowy części poszczególnych gremiów, a jego przegląd daje przypuszczenie graniczące z pewnością, że Izrael na pokoju nie straci.

Pocałunek śmierci

Przez wszystkie szczeble w rozmaitych konfiguracjach przewija się 15 nazwisk, a od części z nich może zmarszczyć się dupa. Według zapewnień Białego Domu w skład Rady Wykonawczej powołano „liderów z doświadczeniem w dyplomacji, rozwoju, infrastrukturze i strategii gospodarczej". Jej mianowani członkowie to: Marco Rubio, Steve Witkoff, Jared Kushner, sir Tony Blair, Marc Rowan, Ajay Banga (prezes Banku Światowego) i Robert Gabriel. Określenie towarzystwa mianem neutralnego byłoby sporym nietaktem.

Były premier Wielkiej Brytanii sir Tony Blair jest nie tylko postrzegany jako zbrodniarz wojenny z powodu swojej roli w inwazji na Irak w 2003 r. Blair jest blisko związany z Larrym Ellisonem, współzałożycielem amerykańskiej korporacji technologicznej Oracle i jednym z najbardziej prominentnych prywatnych darczyńców wspierających Izrael, a w szczególności izraelską armię IDF. Biznesmen ma na tyle ciepłe relacje z Binjaminem Netanjahu, że premier Izraela wraz z rodziną niejednokrotnie wypoczywał na jego hawajskiej wyspie.

Zięć prezydenta Trumpa i jego doradca ds. Bliskiego Wschodu Jared Kushner już w 2019 r. twierdził, że „Palestyńczycy zasługują na samostanowienie", ale jednocześnie nie był pewien, „czy są zdolni do samodzielnego rządzenia". Zanim Kushner zaczął karierę polityczną, zarządzał firmą z branży nieruchomości. Doświadczenie z poprzedniego miejsca pracy przekuł w polityczne wizjonerstwo, kiedy w 2024 r., komentując sprawę Palestyny, stwierdził: „Patrząc z perspektywy Izraela, przeniósłbym ludzi i oczyścił teren", bo „nieruchomości nadmorskie w Gazie mogłyby być bardzo wartościowe".

Naiwny ten, kto pomyśli, że nad gruzowiskiem Gazy i palestyńskimi trupkami zapłacze amerykański miliarder i biznesmen Mark Rowan, który protestował przeciwko organizacji festiwalu kultury palestyńskiej na Uniwersytecie Pensylwanii i tropił „antysemityzm" na campusach innych uniwersytetów w USA. Robert Gabriel zaś (były producent Fox News, aktualnie zastępca doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego) podczas pierwszej kadencji prezydenta Trumpa dostał stołek specjalnego asystenta Stephena Millera – kluczowego doradcy prezydenta USA ds. imigracji. Miller, fan polityki „zerowej tolerancji" wobec imigrantów, był wielokrotnie oskarżany o ksenofobię i rasizm, a Gabriela z racji bliskiej współpracy z Millerem nawet nie próbowano wyciągnąć z tego worka opinii.

Pozory i nadzory

Nieco bardziej inkluzywnie wypada Zarząd Wykonawczy Gazy. Poza Witkoffem, Kushnerem, Rowanem i Blairem do gremium zaproszono bardziej multikulturowe towarzystwo. Wśród członków znalazł się minister spraw zagranicznych Turcji Hakan Fidan. Uważany za jednego z potencjalnych następców Erdoğana polityk nazywa rzeczy po imieniu – oskarża Izrael o ludobójstwo w Gazie, dążenie do wymazania Palestyny z mapy, a Netanjahu o stwarzanie zagrożenia dla całego regionu.

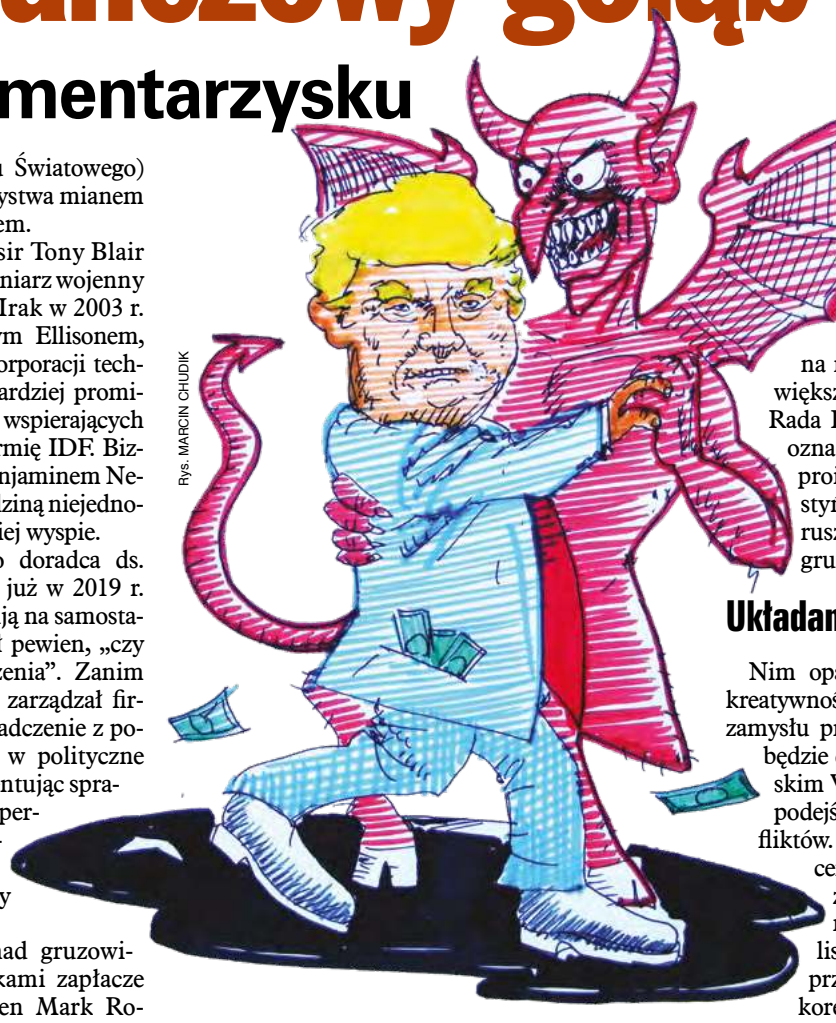

Rys. MARCIN CHUDIK

Ponadto do grona szczęśliwców trafił katarski dyplomata Ali Al-Thawadi (Katar jest podejrzewany o pośredniczenie w finansowaniu Hamasu za wiedzą, zgodą i pod naciskami Bibiego w celu osłabienia Autonomii Palestyńskiej), szef egipskiego wywiadu generał Hassan Rashad (przeciwny przymusowemu wysiedlaniu Palestyńczyków z Gazy), minister współpracy międzynarodowej Zjednoczonych Emiratów Arabskich Reem Al Hashimy oraz wysłanniczka ONZ ds. pomocy humanitarnej i odbudowy Strefy Gazy Sigrid Kaag. Wisienką na torcie tej politycznej wieży Babel jest Yakir Gabay, izraelski miliarder z branży nieruchomości.

Funkcję wysokiego przedstawiciela w Strefie Gazy objął bułgarski dyplomata Nikołaj Mładenow. Polityk postrzegany w Palestynie jako gołąbek łagodzenia apartheidu normalizujący opresyjny izraelski reżim. W tej roli Mładenow będzie pełnił funkcję łącznika między Radą Pokoju a kolejnym ciałem, Narodowym Komitetem Administracyjnym Strefy Gazy. Przewodniczącym NCAG odpowiedzialnego za przywrócenie podstawowych usług publicznych, odbudowę instytucji cywilnych, zarządzanie pomocą humanitarną i przygotowanie gruntu pod samodzielne (he, he) rządy został Ali Shaath, palestyński inżynier i były wysoki urzędnik Autonomii Palestyńskiej.

Lista pozostałych członków NCAG na razie pozostaje zagadką, nie ma jednak większego znaczenia. Głową projektu jest Rada Pokoju, a szyją Rada Wykonawcza. To oznacza tyle, że Strefą Gazy będą zarządzać proizraelscy decydenci, podczas gdy Palestyńczycy i przychylne im towarzystwo ruszą do przetykania kanałów i sprzątania gruzu.

Układanka Donalda

Nim opadł kurz obrzydzenia, okazało się, że kreatywność Trumpa sięga znacznie dalej. Wedle zamysłu przywódcy USA Rada Pokoju nie tylko będzie dążyć do umocnienia stabilizacji na Bliskim Wchodzie, ale podejmie odważne i nowe podejście do rozwiązywania globalnych konfliktów. Amerykańską ambicją jest przekształcenie tego organu w strukturę zdolną do zastąpienia ONZ. Donald Trump sformalizował narodziny Rady, wysyłając listy z zaproszeniem do 60 światowych przywódców. Dotychczas potwierdzono korespondencję z prezydentami Turcji, Egiptu, Argentyny i Paragwaju. W gronie wybranych znalazły się również: Kanada, Jordania, Indie, Pakistan, Albania, Węgry, Cypr, Grecja, Niemcy, Włochy i Australia. Liścik miała otrzymać także przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Oraz – o zgrozo – Władimir Putin.

„Nadszedł czas zmieniania marzeń w rzeczywistość. W sercu planów jest Rada Pokoju – najbardziej imponująca i ważka Rada kiedykolwiek zebrana" – napisał w rozesłanym do międzynarodowego establishmentu dokumencie Trump. Agencja Bloomberg prędko doniosła, że wpisowe do koła przyjaciół amerykańskiego prezydenta tanie nie będzie. Członkostwo w Radzie ma obowiązywać przez trzy lata, z wyjątkiem państw, które w ciągu pierwszego roku uiszczą wpłatę 1 mld dol. Decyzje w Radzie mają być podejmowane większością głosów, ale ostateczna akceptacja będzie należeć do przewodniczącego, którym – przypomnijmy – jest Donald Trump. Na gruzach Gazy rodzi się nowy porządek świata i nie jest to dobra nowina.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 769dc3e8be

Bal na rezonans

Scheiblerowie dzieciom

Jako łódzki działacz społeczny zajmujący się bezdomnymi, a w szczególności tymi, którzy zaraz nimi będą, a więc – w błędnej ocenie ogółu – człowiek wrażliwy, chciałem wybrać się na bal charytatywny organizowany przez Fundację Łódź. W zapowiedzi imprezy napisano, że to wydarzenie, które łączy elegancję, ludzi z wartościami i wspólny cel: niesienie pomocy dzieciom i młodzieży potrzebującej wsparcia psychiatrycznego. Niestety, wartość u ludzi z wartościami to minimum koszt obecności przy 10-osobowym stoliku w restauracji hotelowej DoubleTree by Hilton, a więc jeden tysiąc złotych.

Za wysokie progi. Na balu pod patronatem Dariusza Jońskiego bawiła współczesna łódzka szlachta biznesowo-polityczna, a wśród tych Scheiblerów ministra edukacji bez sukcesów Barbara Nowacka, była ministra rozkładu ochrony zdrowia Izabela Leszczyna, parlamentarzyści z regionu, a także były wsadzacz piłki do kosza przepoczwarzony w autorytet dla dzieci i głupców Marcin Gortat, a i astronauta Sławosz Uznański-Wiśniewski, zapewne z małżonką. Na salę dostarczono też mumię prezydent Zdanowskiej, lecz ponoć zakazano jej polewać. Do kotleta przygrywała Łódzka Orkiestra Filmowa, której pomysłodawca i założyciel Piotr Piotrowski zmarł tydzień wcześniej, nie dożywszy interesujących nas wydarzeń, a także zespół Blue Cafe, artystycznie też nieboszczyk. O piątej rano gruchnęła wieść, gdyż Gortat ją ogłosił – właśnie urodziło mu się małe Gortaciątko. Gratulacjom nie było końca. Ostro licytowano podczas 16 licytacji głównych i 14 cichych. Robert Lewandowski podarował piłkę z autografem, bo ma ich dużo. Pod młotek trafiła też koszulka z NBA od Marcina Gortata, wyjazd do Parlamentu Europejskiego z Dariuszem Jońskim, a nawet filiżanka z podpisem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Wygrała jednak sztuka – najdrożej za 80 kafli poszedł obraz Wojciecha Siudmaka, potwierdzając wytworność towarzystwa.

To już drugi bal na rzecz dzieci ze Specjalistycznego Psychiatrycznego ZOZ przy ul. Aleksandrowskiej w Łodzi. W zeszłym roku mniej więcej to samo towarzystwo zbierało pieniądze na remont boiska czy innego placu zabaw. Tym razem jaśnie państwo przeznaczyło kasę na zakup rezonansu. 430 szlachetnych i cnotliwych osób zebrało 1,3 mln zł. Dzieląc to na jednego Scheiblera, wychodzi nieco ponad 3 tys. zł. Tyle, co nic – kwota, którą ta sala potrafi wydać na skromną w jej opinii kolację. A na taką reklamę – grosze. To nie dziwi, ale

mam małe pytanko: dlaczego, do kurwy nędzy, rezonans jest celem balu, a nie zwykłą pozycją w budżecie?

Jak to się stało, że w państwie, które potrafi wypluć miliony na rzeczy kompletnie zbędne (a nawet szkodliwe), na urządzenie do diagnostyki dzieci w kryzysie psychicznym trzeba urządzać licytacje wśród bogatej hołoty? To jest ten moment, kiedy człowiek przestaje się śmiać, bo dociera do niego, że to nie żart. W tej samej sali, przy tych samych stolikach, na których „ratowano dzieci", zapewne domykano sprawy warte dziesięć takich rezonansów. Bo to jest prawdziwa funkcja takich bali: nie wspólny cel, tylko wspólny interes. W przerwach między jednym wzruszeniem a drugim idzie wymiana numerów, ukłon do właściwej osoby, „odezwijmy się w tygodniu", „podeślij ofertę", „zobaczymy, co da się zrobić". Łódź nie jest od tego wolna: to miasto nauczyło mnie, że najważniejsze decyzje nie zapadają w urzędach, tylko przy stolikach właśnie.

I dlatego ta cała zrzutka śmierdzi. Bo od kupowania rezonansów mamy państwo. Państwo ma podatki, budżet, NFZ, ministerstwa, procedury, kontrakty. Państwo ma też obowiązek: zapewnić dzieciom diagnostykę bez urządzania loterii z udziałem piłki Lewandowskiego i filiżanki Kidawy. Jeśli musimy robić bal, to znaczy, że ktoś po drodze te pieniądze wyciął, wyssał, wyniósł. Wystarczy popatrzeć na towarzystwo: część z niego robi interesy na publicznym, część się kręci przy władzy, część żyje z układów, część z PR-u, a część z tego, że państwo jest słabe i da się je doić. Potem ci sami ludzie zakładają muszki, przychodzą ratować system, który współtworzą. To jest tak, jakby złodziej po włamaniu wrócił z paczką gwoździ i robił sobie zdjęcie, że naprawia drzwi.

Więc nie, to nie jest piękne. To jest obraźliwe. Dziecięca psychiatria nie potrzebuje dobroczynnego teatru. Potrzebuje pieniędzy, etatów i sprzętu kupionego normalnie – z naszych podatków. A nasi bogacze, elity, śmietanka? Czy ich też potrzebujemy?

DAMIAN DUSZCZENKO

SŁOWO CZERWONE

Jak nie ludowa – to czyja?

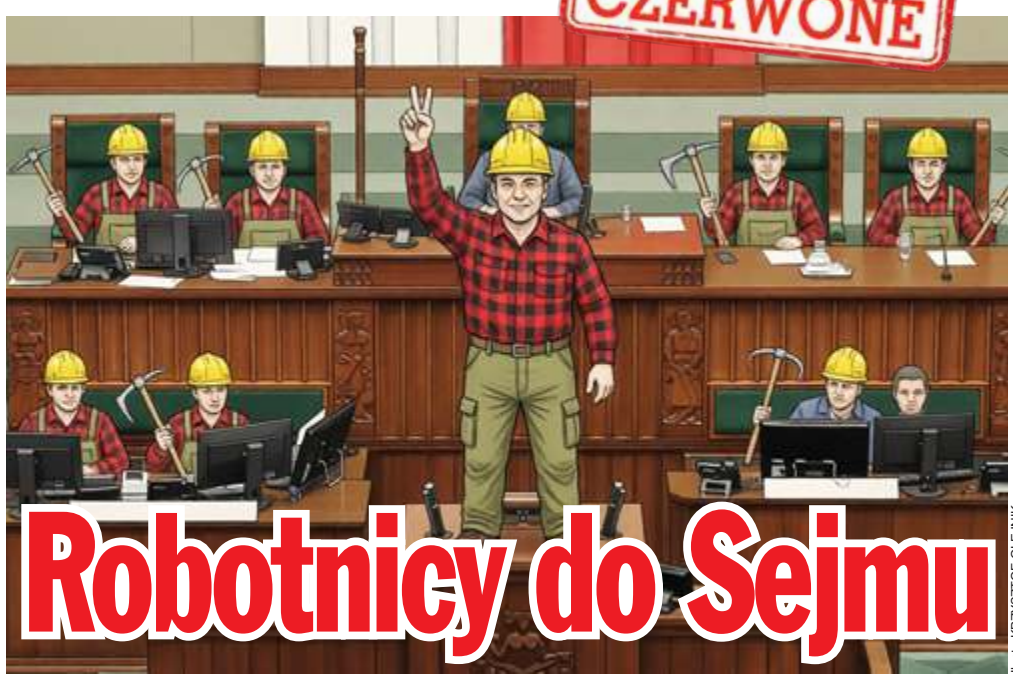

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Demokrację w Polsce wywalczyli robotnicy. I na tym się ich rola skończyła. Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, żeby gdziekolwiek kandydowali, choćby do rady gminy. Uznano, że nadają się tylko do pracy, a decydować i myśleć będą za nich lepsi goście. Biznesmeni, zawodowi politycy, urzędnicy, właściciele kilku mieszkań, bogacze.

Pan premier spotyka się z biznesem, ale z plebsem, który wcześnie rano wstaje, żeby pomnażać nasz dobrobyt, to już nie. Pan prezydent reprezentuje naród, ale nie rozumie, że naród to właśnie lud roboczy.

Ostatnio przysłuchiwaliśmy się naradzie związkowców. Przyjechali z całego kraju. Ktoś mówi: „przydaliby się posłowie, którzy wysłuchują naszego głosu. Życzliwi dla pracowników." A ja myślę sobie, że takich trudno znaleźć, im bliżej do przedsiębiorców, sponsorów. No więc dlaczego pracownicy nie mieliby zacząć kandydować do sejmu. Nie są głupsi od obecnych posłów. Są mądrzejsi. Wiedzą, o czym mówią, a mówią ze swadą bez kartki, na temat, mądrze. Słuchanie ich to po parlamentarnym bełkocie miła odmiana.

Jest mowa o inspekcji pracy, o pomyśle, żeby było więcej inspektorów i żeby mogli coś więcej niż wlepianie mandatów, w symbolicznej wysokości. Popierają ministerialny projekt, żeby mogli przekształcać ze skutkiem natychmiastowym umowy śmieciowe w umowy o pracę wszędzie tam, gdzie umowa cywilnoprawna to zwykła ściema.

Są świadomi, że polski tzw. cud gospodarczy nie wziął się znikąd, tylko z ich ciężkiej, licho opłacanej pracy.

Przedstawiciel związkowców z Kauflandu mówi tak: „Państwo mówi przedsiębiorcom, że mogą się bezgranicznie bogacić, wyzyskując nas, pracowników, łamiąc nasze prawa". Jego przemówienie robi wielkie wrażenie. W Sejmie tak nie potrafią.

Diety poselskie powstały w Anglii, kiedy na listach Partii Pracy na początku XX w. do parlamentu weszli robotnicy. Trzeba było te diety stworzyć, bo ci nowo wybrani posłowie nie mieli na bilet do Londynu. Bardzo się od tamtych czasów cofnęliśmy.

Premier nie wzywa robotników, żeby się bogacili. Wie, że to niemożliwe, bo to ich panowie, biznesmeni mają się bogacić – i bogacą się kosztem tych, których zatrudniają.

Niedawno dowiedziałem się, że są w Polsce firmy, które zakazują śmiania się w pracy, rozmów między pracownikami. W amerykańskim Walmarcie takie rozmowy nazywają „kradzieżą czasu". Zatrudniając ludzi, wmawia im się, że firma to rodzina, że ich obowiązkiem jest kochać swoją pracę. A rekruterzy nie lubią pytań o zarobki. Uważają to za nieprzyzwoite. Tak jak gdyby ludzie szli do pracy dla przyjemności, a nie dla pieniędzy.

Jesteśmy my i oni. My, którzy tworzą swym wysiłkiem wszystko, co jest. I oni, którzy na naszej pracy zarabiają. Oni są pełnymi poświęceń półbogami, dzięki którym kraj nam rośnie w siłę. Problem polega na tym, że od tego większość z nas nie żyje dostatniej. Nie ma narodu, jest kilkanaście milionów zapierdalaczy, którzy z trudem wiążą koniec z końcem. I z przepracowania zasypiają przy kolacji. A najgorsze, że my, ten gorszy sort, nie doceniamy poświęcenia tych, którzy żyją z naszej pracy, pracują od świtu do nocy, bo chcą się wzbogacić. A my, głupi robole, zamiast się tym przejąć, wychodzimy po pracy i chcemy jak najszybciej zapomnieć, że tam byliśmy i jak nas tam traktują.

Poznałem stolarza, który czytał wiele traktatów filozoficznych. Ale ciągle zmieniał robotę, bo w żadnej firmie szef nie traktował go jak człowieka. Kochał swoją pracę i miał wiele pomysłów, jak ją wykonywać lepiej, ale żaden szef nie patrzył mu w oczy i nie słuchał, co ma do powiedzenia. Był tylko rękami, które robią meble, żeby szef mógł kupować, co chce.

Między światem pracy a światem biznesu jest przepaść. Bogaci rządzą w firmie i w państwie. Nawet jeżeli nie zasiadają w sejmie czy samorządzie, to lobbują za niskimi podatkami i ograniczaniem praw pracowniczych.

Wszystkie kolejne rządy reprezentowały biznes. Ten otrąbiony w mediach sukces gospodarczy Polski nas, ludzi pracy, nie dotyczy. Nie tylko nie płacą należycie za nasz trud, ale kradną nam życie, wymuszając wciąż więcej i więcej czasu, pracy, wysiłku.

I tak aż do śmierci czy nędznej emerytury.

Gość, który kazał zdjąć zabezpieczenia, żeby taśma szła szybciej – co spowodowało śmierć młodego mężczyzny, który dopiero co się ożenił – nie poniósł kary. Ktoś, kto by chciał poinformować, że takie narażenie ludzkiego życia ma miejsce; ktoś, kto by próbował zapobiec tragedii – nie jest chroniony prawem. Bo – jak mówią związkowcy – prawo jest uszyte pod przedsiębiorców i korporacje.

Mój przyjaciel pracował w FSO, kiedy była tam kilkunastotysięczna załoga. I mówił, że kiedy wchodził do pracy, czuł, że idzie za nim potęga. Ten gigant się jeszcze obudzi.

PIOTR IKONOWICZ

Jak się ściska „Dragona"

Nie żebyśmy uważali, że to coś zmieni, ale i tak opowiemy, bo wiemy.

W Polsce nic nie ginie. Ani kibolskie tatuaże spod znaku swastyki, ani dawne akta sądowe, ani stare znajomości. Wszystko da się odkurzyć, przepisać na nowo i wystawić na salonach. Czasem w garniturze, czasem w dresie premium, a czasem w formie ciepłego, religijnego uścisku na Jasnej Górze z człowiekiem o ksywce „Dragon".

Gang, który lubił ciszę (i zawiasy)

W maju 2024 r. zapadły pierwsze prawomocne wyroki wobec zorganizowanej grupy przestępczej złożonej z kiboli Jagiellonii Białystok. Gang działał w latach 2009–2013, czyli w epoce, gdy patriotyzm mierzyło się obwodem karku, a miłość do ojczyzny ilością farby w sprayu.

21 osób zostało skazanych, głównie na grzywny i kary w zawieszeniu. Dwie trafiły do więzienia na trzy i cztery lata. Reszta mogła wrócić do domu z poczuciem, że państwo polskie rozumie młodzieńcze błędy: sutenerstwo, wymuszenia, rasizm i odrobinę faszyzmu, bo kto tego w młodości nie przechodził? Równolegle przed tym samym sądem toczył się drugi proces 46 kolejnych pseudokibiców.

Początkowo zarzuty w tych dwóch procesach objęły ponad 150 osób, ale jak to zwykle bywa, część „się skruszyła", część dogadała z prokuraturą, a garstka – tyle że kluczowa – poszła na współpracę z policją. Zmowa milczenia obowiązywała oczywiście tylko do momentu, gdy ktoś zobaczył paragrafy.

Trzy gangi, jedna ideologia

Jak ustalił sąd, środowisko kiboli Jagiellonii funkcjonowało w trzech wyspecjalizowanych segmentach. Jeden gang zajmował się sutenerstwem, drugi organizował tzw. ustawki, trzeci natomiast odpowiadał za ideologię: propagowanie faszyzmu, nawoływanie do nienawiści rasowej i narodowościowej oraz „dekorowanie" Podlasia swastykami.

Efekty tej działalności były widoczne gołym okiem: podpalenia drzwi czeczeńskich uchodźców, ataki na mniejszości, napisy w rodzaju „Nie przepraszam za Jedwabne". Cały region wyglądał jak poligon doświadczalny dla brunatnej fantazji.

W 2013 r. ówczesny minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz ogłosił: „Idziemy po was". I tym razem nie była to figura retoryczna. Policja, ABW, straż graniczna i straż pożarna (bo kibole lubili ogień) weszły do gry.

Przykrywkowcy CBŚ szybko nawiązali kontakt z Gerardem B. ps. „Gonzo" – kibolem, faszystą i dumnym posiadaczem tatuażu żołnierza Wehrmachtu. Przez narkotyki, agencje towarzyskie i broń bez zezwolenia śledczy dotarli do rdzenia grupy.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Dragon", „Buben" i reszta bestiariusza

Na czele zorganizowanej grupy przestępczej stali – według prokuratury – Adam S. „Staszyn", Sebastian Ś. „Buben" oraz

Tomasz P. „Dragon" – łącznik między elitą gangu a młodym narybkiem, który na awans w hierarchii musiał najpierw zapracować lojalnością, malując swastyki na murach.

„Dragon" nie był więc postacią z folkloru stadionowego, lecz elementem realnej struktury przestępczej, która przez lata terroryzowała Białystok i okoliczne miejscowości.

Zawiasy dla ojczyzny

Wyroki zapadłe w maju 2024 r. potwierdziły to, co było do przewidzenia od początku: dwie osoby trafiły za kraty, reszta dostała „zawiasy". Część oskarżonych wyjechała z miasta, część się ukrywa, część jak „Dragon", bez przeszkód funkcjonuje w nowej rzeczywistości biznesowej, sportowej, patriotycznej. Dawni kibole i skinheadzi tworzą więc dziś sieć spółek, stowarzyszeń i klubów sportów walki. Suplementy diety, catering, fitness, konferencje, a wszystko to pod hasłami „siła", „dyscyplina", „wartości".

Jasna Góra, jasna sprawa

I tu dochodzimy do puenty, którą sprowokowała niedawna głośna publikacja Wirtualnej Polski. Tomasz P. „Dragon", skazany w opisanych wyżej procesach, pojawia się dziś nie tylko w aktach sądowych, lecz również w medialnych kadrach z Jasnej Góry, gdzie ściska się z Karolem Nawrockim. W Polsce można bowiem bić, zastraszać, podpalać i szerzyć faszyzm, a potem, jeśli tylko czas zrobi swoje, zostać przyjętym pod obrazem Matki Boskiej bez pytań, bez przypisów i bez wstydu.

JMP

eprasa.pl 769dc3e8be

Bezdomność jako problem termiczny

Wyrzut sumienia na kółkach

Mróz w Polsce działa jak coroczny audyt państwa wobec osób bezdomnych: sprawdza, czy w sytuacji granicznej umiemy zrobić cokolwiek więcej niż zdjęcie na Facebooka. Gdy słupek rtęci spada, rośnie aktywność PR-owa: akcje, patrole, punkty, gorąca herbata, namioty, numery alarmowe. A potem wiosna przychodzi jak gumka myszka i wyciera temat z tablicy – do kolejnego ataku zimy.

To jest ten rodzaj „pomocy", który w praktyce służy głównie temu, żeby sumienie miało miękką poduszkę: przecież miasto coś robi, przecież jest telefon, przecież są służby. Świetnie. Tylko że człowiek w kryzysie bezdomności nie potrzebuje listy „przecież". Potrzebuje czegoś, co kończy się drzwiami, kluczem i adresem. A my co roku udajemy, że to problem pogodowy – jakby bezdomność była frontem atmosferycznym, który przechodzi, a nie decyzjami politycznymi i rynkiem mieszkaniowym, który rucha normalnych ludzi.

Warszawa dorzuciła do tego pakietu dwa autobusy grzewcze. Rafał Trzaskowski ogłosił, że po stolicy kursują bezpłatne „OGRZEJ SIĘ linia A" i „OGRZEJ SIĘ linia B", żeby można było wejść, usiąść, odmarznąć, a przy okazji opierdolić coś na ciepło. Autobus jeździ od 18:00 do rana, ostatni kurs startuje o 9:00. Brzmi sensownie – i na poziomie doraźnej interwencji pewnie jest sensowne.

Tylko że tu właśnie zaczyna się wkurwiająca prawda: autobus to nie pomoc. Autobus to alibi. Ruchoma dekoracja, dzięki której miasto może powiedzieć „robimy coś", a potem wrócić do normalnego programu: wypychania biedy z centrum, zamiatania problemu w krzaki i udawania, że bezdomność jest „skomplikowana", więc lepiej jej nie mieć w kadrze.

Bo najważniejsze jest, żeby nie było zwłok w miejscu publicznym. Żeby nie trzeba było tłumaczyć, że ktoś zamarzł w stolicy europejskiej, nowoczesnej, uśmiechniętej. Więc produkujemy działania, które mają jedną przewagę nad realnymi rozwiązaniami: świetnie wyglądają. Mieszkania wspierane zaś są nudne. Streetworking jest niewidzialny. Terapia nie ma logotypu.

I jasne: niech te autobusy jeżdżą, bo mróz nie negocjuje, a śmierć z wychłodzenia nie pyta o harmonogram reform. Tylko przestańmy udawać, że to jest miara cywilizacji. To jest miara naszego upadku: kiedy odpowiedzią na brak dachu nad głową jest przejażdżka w kółko.

ilustr. PAWEŁ FERENC

W kraju, w którym potrafi się budować stadiony, tunele, wieżowce i apartamenty inwestycyjne, ktoś ma się ratować w autobusie-poczekalni, patrząc w szybę, aż minie noc.

Najbardziej wkurza ta bezczelna systemowa hipokryzja: energię mamy na doraźne akcje, ale nie mamy jej na system. Trzaskowski! Umiesz zorganizować dwa autobusy, to umiesz też zorganizować mieszkania wspierane, stałe zespoły streetworkingu, dostęp do leczenia, terapii, wsparcia prawnego, redukcji szkód. Umiesz zorganizować konferencję – to umiesz zorganizować strategię. Tylko że strategia kosztuje, wymaga ciągłości i odpowiedzialności.

Zamiast tego króluje filozofia „byle do wiosny". Byle nie zamarzli nam na chodniku. Byle nie było kolejnego nagłówka, że ktoś umarł na ławce, bo wtedy trzeba coś powiedzieć. A powiedzieć najłatwiej: „Apelujemy do mieszkańców o reakcję". Czyli państwo – cała ta machina, budżety, instytucje, gabinety – rozkłada ręce i mówi: „To wy reagujcie". Jakby to był pożar, a rząd i samorząd były tylko widownią, która może co najwyżej krzyknąć „ojej".

Tymczasem bezdomność nie bierze się z braku chęci. To nie jest lenistwo, to nie jest styl życia. Bezdomność to finał całego łańcucha: braku tanich mieszkań, eksmisji, zadłużenia, przemocy, chorób, uzależnień, rozpadu relacji. Czasem jednego pecha, który pcha następny jak domino. I kiedy człowiek spada z tej drabiny, system nie podaje mu ręki. System podstawia mu regulamin.

I tu jest sedno: my nie chcemy rozwiązać problemu bezdomności. My chcemy nią zarządzać tak, żeby nie przeszkadzała. Żeby była gdzieś na marginesie, w cieniu, poza deptakiem, poza nową inwestycją, poza obrazkiem nowoczesnego miasta. Dlatego „pomoc" bywa w praktyce kontrolą: przegonienie z klatki, przegonienie z dworca, przegonienie spod sklepu. Bo przecież są noclegownie – mówią ci, którzy nigdy tam nie byli i nie widzieli tego systemu upokorzenia: kolejka, selekcja, łaska miejsca, „jak się trafi", zakazy, nakazy, atmosfera jak w więzieniu.

Tylko że przegoniony człowiek nie znika. On się przesuwa i zamarza gdzie indziej. W bramie, w krzakach, na działkach, w pustostanie. Tam, gdzie nie psuje widoku.

Więc tak: autobus jest lepszy niż nic. Ale „lepszy niż nic" to najniższy próg cywilizacji, nie powód do dumy. Jeśli naszą odpowiedzią na bezdomność jest nocna przejażdżka w cieple, to znaczy, że państwo i miasto nie mają planu. Mają odruch. Mają doraźność. Mają PR.

A przecież to nie jest tak, że „nie da się". Da się. Tylko trzeba odwrócić logikę. Zamiast systemu, który stawia warunki (trzeźwość, dokumenty, regulamin, kolejka, łaska), trzeba systemu, który daje fundament: mieszkanie i wsparcie, a dopiero potem reszta. Stabilizacja nie jest nagrodą za idealne zachowanie. Stabilizacja jest warunkiem, żeby człowiek w ogóle mógł zacząć się dźwigać.

Bo to nie mróz zabija. Zabija zaniechanie, które co roku przebieramy w odblaskową kamizelkę i nazywamy działaniem. Zabija polityka, która potrafi znaleźć pieniądze na wszystko, byle nie na to, co nie daje natychmiastowych punktów w sondażu. Zabija system, który umie zorganizować człowiekowi autobus, ale nie umie zorganizować mu miejsca, w którym mógłby wreszcie wysiąść.

DAMIAN DUSZCZENKO

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Amerykańscy żołnierze stacjonujący w Poznaniu przeżyli szok. Okazało się, że wysokie koszty życia w Polsce potrafią zaatakować nawet amerykański budżet. Sierżant Jontae Fielder musiał sięgnąć do oszczędności, by nie spać na dworcu, a podoficer Courtney Brittian skorzystała z pomocy Army Emergency Relief. I bardzo dobrze! Niech wiedzą, że Polska to kraj budowlańców. Jak wiadomo, wszystko, co stoi od Hamburga po Nowy Jork i Oslo, zostało zbudowane polską kielnią i drabiną. U nas nie stawia się byle czego z sitraku i tektury, jak nie powiem gdzie. Nasze mieszkania trzymają standardy. Są bez karaluchów, cieknących rur, szczurów i otwartych kanalizacji. Ogień się ich nie ima jak tych w Los Angeles. To musi kosztować! Wedle stawu grobla. Niech płacą i niech się cieszą, że mogą mieszkać w kraju, gdzie standardy są wyższe niż w ich własnym.

▮ Jak obwieściło Radio Maryja, po 13 latach śledztwa prokuratura wreszcie dobrała się do byłego wiceministra finansów Hipolita G. („G" to chyba od Grabowski? Nie wiem, nie wnikam). Zarzucają mu, że w 2013 r. nie dopełnił obowiązków przy VAT-owskich przepisach, przez co skarb państwa stracił... no właśnie, ile stracił? 260 mld zł? Sam oskarżony kwestionuje te wyliczenia, mówiąc o braku przejrzystej metodologii. I tu muszę przyznać mu rację – ktoś tu chyba przesadził. Ale prokuratura wie swoje. Twierdzą, że Grabowski usunął z projektu nowelizacji przepisy dotyczące VAT w branży elektronicznej uznawanej za Eldorado dla wyłudzeń. Grozi mu za to do trzech lat więzienia. Trzy lata za niedopatrzenie? Jezus Maria, to go mogą uśmiercić!

▮ Biedronka zamknęła 2025 r. z rekordowym wynikiem sprzedaży: Polacy wydali w jej sklepach ok. 107 mld zł, co oznacza wzrost o 7,5 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Taaa, nie wiadomo, jak tam u Lidla, ale pewnie podobnie. To oznacza, że na żarcie wydaliśmy tyle samo co na obronność, która w 2025 r. pochłonęła łącznie ok. 200 mld zł. A przecież było mówione: armaty zamiast masła! Zaraz... chwileczkę, ale to chyba nie u nas. Chyba mi się coś pomyliło… A może po prostu wolimy jeść, niż się bronić?

▮ Związkowcy z OPZZ Konfederacji Pracy zaszaleli. Zażądali od Dino Polska podwyżek i poprawy warunków pracy. Chcą 900 zł brutto więcej, funduszu socjalnego i zwiększenia zatrudnienia o 30 proc. Pytanie tylko, co na to Tomasz Biernacki, główny akcjonariusz Dino Polska, jeden z najbogatszych polskich przedsiębiorców. Na jego miejscu pomyślałbym: „Mhm… 900 zł i papier toaletowy w kiblu? No w dupach się poprzewracało tym robolom!". W końcu po co dawać więcej, skoro można płacić mniej? A związki zawodowe? Cóż, zawsze można je zignorować albo kupić.

▮ Od 1 stycznia 2026 r. ZUS oficjalnie przyznał: 4 tys. zł na godne pożegnanie to nieco zbyt mało. W tej cenie co najwyżej trumna z tektury i skromny wieniec. Dlatego zasiłek pogrzebowy został podniesiony do 7 tys. zł – pierwszy raz od 2011 r. Teraz to już można zaszaleć!

▮ Szczecin wydał ponad 30 tys. zł na zakup 900 biletów na koncert prezydencki w filharmonii. Bilety rozdano radnym, sponsorom i gościom. Mieszkańcy płacili od 120 do 150 zł, a władza dostała za 35 albo darmo. I co? I faaaala krytyki. Mieszkańcy krytykują, a dostojnicy się bawią. Tym razem jestem po stronie władzy. Filharmonia im. Mieczysława Karłowicza jest opłacana z lokalnych podatków, więc to wszystko jedno, czy podatnicy sfinansują władzy podwyżki, czy bilety. Zresztą już samo kupowanie biletów od filharmonii, której się jest właścicielem, budzi jakieś umysłowe torsje.

Rys. WIDGET

▮ Prokuratura Regionalna w Krakowie umorzyła śledztwo wobec byłego prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego. Dotyczyło rzekomego niedopełnienia obowiązków przy przyznaniu dotacji na remonty kamienic, ok. 1,19 mln zł, które miały trafić do prywatnego beneficjenta na niejasnych zasadach. Analiza przepisów i dowodów wykazała jednak, że działania prezydenta mieściły się w granicach prawa. Nie stwierdzono szkody publicznej. W skali kraju w ostatnich pięciu latach wszczęto ok. 1,8 tys. postępowań karnych wobec władz samorządowych. Większość z nich zakończyła się umorzeniem. To potwierdza, że działalność samorządowa wiąże się z dużym ryzykiem procesowym – zarówno dla urzędników, jak i podatników.

▮ Sędzia Edyta Duda z Kluczborka została ukarana za skandaliczne zachowanie wobec przesłuchiwanego. Krzyczała, uderzała pięścią w stół i nie pozwalała mu się wypowiedzieć. Sąd Dyscyplinarny przy Sądzie Apelacyjnym we Wrocławiu uznał ją winną i zdecydował o przeniesieniu do Sądu Rejonowego w Opolu. Widać w polskim sądownictwie uczą się od najlepszych (tych w sutannach). Zamiast karać, wolą zamieść sprawę pod dywan i wysłać sędzię Dudę, żeby krzyczała i uderzała pięścią w stół w Opolu.

▮ Starszy aspirant Bartłomiej Pipka, dzielnicowy z Wejherowa, to dziś prawdziwa legenda. W 2025 r. doprowadził do zatrzymania 195 osób. Celował głównie w osoby ścigane listami gończymi. Skuteczność Pipki to wynik jego świetnej znajomości terenu, osobistego zaangażowania i intensywnej pracy z lokalną społecznością. Pipka zna swój rejon jak własną kieszeń. A w tej kieszeni, jak widać, kryją się same szuje. Wyniki Pipki rosną z roku na rok: 2022 – 94 zatrzymania przez Pipkę; 2023 – 127 zatrzymań autorstwa Pipki; 2024 – 145 osób zatrzymanych przez Pipkę. W sumie od 2022 r. Pipka przyczynił się do ujęcia aż 567 osób. Nowy rok dopiero się zaczął, a Pipka już zatrzymał kolejnych sześć. Jak twierdzi sam Pipka, pomaga mu w tym fotograficzna pamięć.

▮ Nie lubimy chwalić policji, ale tym razem musimy. 28-letnia kobieta oskarżyła funkcjonariusza o molestowanie w hotelu na Mokotowie w Warszawie. Twierdziła, że gliniarz włamał się do jej pokoju i ją napadł. Kłamała. Jak wynika z analizy nagrań monitoringu, kobieta sama przekazała policjantowi kartę magnetyczną do pokoju, a oboje weszli do środka dobrowolnie. Po czterech minutach mężczyzna wyszedł. Prokurator zwolnił policjanta bez zarzutów. Wniosek? Nie zawsze policjanci są winni. Czasem to kobiety kłamią. Ale to tylko czasem, żeby nie było wątpliwości.

▮ Z najnowszego badania wynika, że aż 84 proc. dorosłych Polaków spożywa alkohol. I bardzo dobrze! Piwo króluje, co nie dziwi – w końcu to napój dla ludu. Abstynentów jest mało, a wśród nich przeważają młodzi, kobiety, seniorzy i bezrobotni. Czyli ci, którzy albo jeszcze nie wiedzą, co tracą, albo już nie mogą, albo nie mają za co pić. Bada-

eprasa.pl 769dc3e8be

Dlaczego w Polsce jest 888 tysięcy bezrobotnych

Nie mają nic prócz dwojga rąk

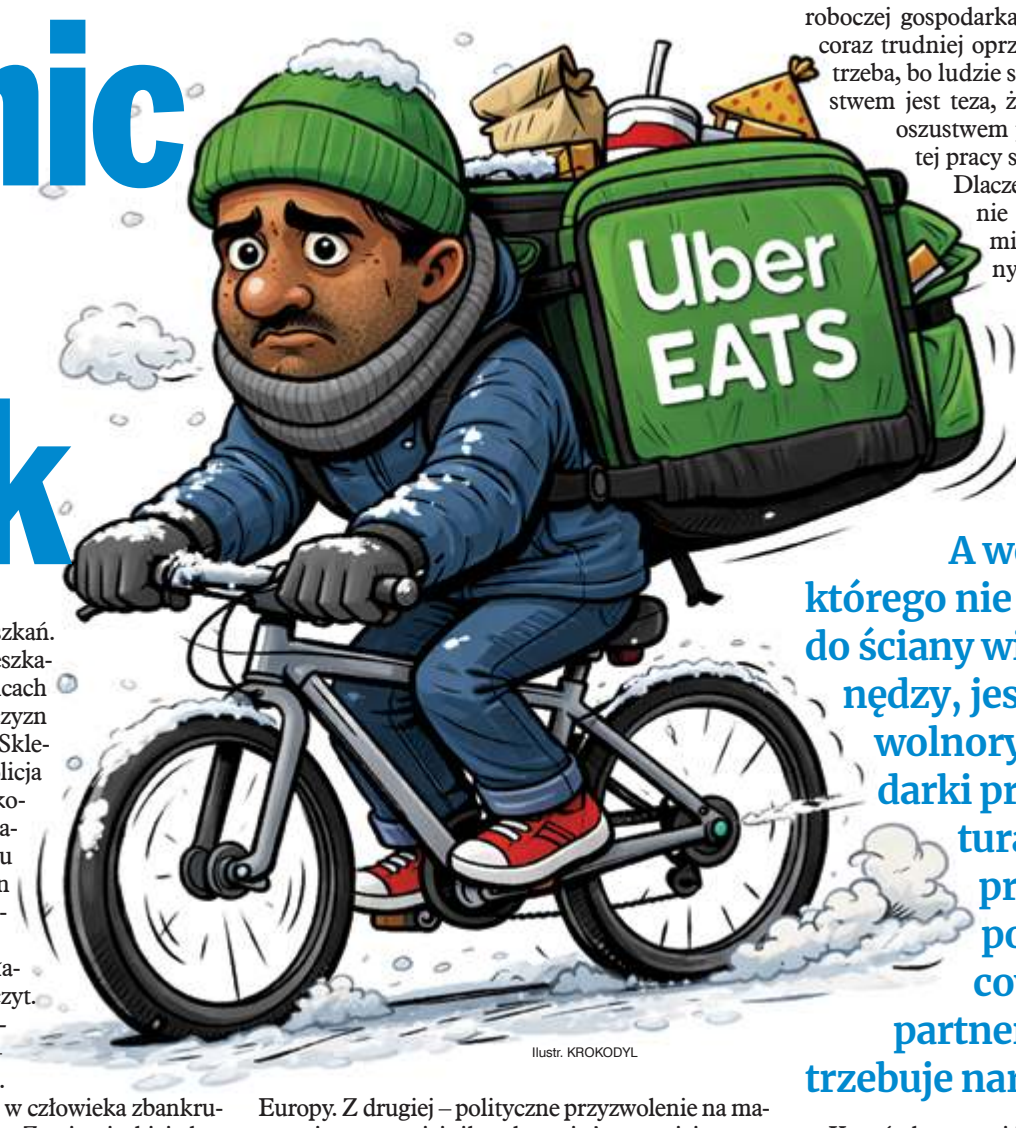

Ilustr. KROKODYL

Porozmawiajmy teraz o imigracji. Mam do tego pełne prawo – jako wieloletni imigrant, czyli ktoś, kto stał w kolejkach, tłumaczył się z akcentu i słuchał, że „miejscowi też chcieliby pracować". Krótko mówiąc: znam temat od strony zaplecza, nie od strony mównicy.

Moralne prawo do pogardy

Pamiętam, jak swego czasu prezes Kaczyński grzmiał – cytuję – „Nie eksploatowaliśmy tych państw, w których ci uchodźcy dziś do Europy przyjeżdżają, nie korzystaliśmy z ich siły roboczej i wreszcie: nie wzywaliśmy ich do Europy, mamy pełne, moralne prawo powiedzieć: nie!".

Słuchałem tego ze łzami w oczach. Autentycznie. Bo jako ongiś obcy, byłem wszystkim naraz: „polaczkiem", „hindusem", „żydkiem", „ćwokiem", „Ukraińcem". Miałem jedno imię zbiorowe: imigrant.

W języku angielskim jest na to słowo bezwstydnej szczerości. *Slave*. Niewolnik. Etymologicznie od *Slav*, Słowianin. Przez stulecia Słowian sprzedawano na targach ludzi tak masowo, że ich nazwa stała się dla Anglosasa synonimem podczłowieka do pracy. Moi gospodarze nie musieli rozróżniać niuansów. Nie interesowało ich, skąd jestem ani kim byłem. Mówili: masz być wdzięczny, że w ogóle jesteś.

Od zasieków hańby do stref bezprawia

No i dziś stoję w innym miejscu. To imigranci przychodzą do nas, a ja – jestem u siebie. Pamiętając własne doświadczenia, uważałem, że ludzi należy traktować tak samo, bez względu na pochodzenie, język czy kolor paszportu. Dlatego zasieki na wschodniej granicy postrzegałem jednoznacznie jako mur hańby.

Ta optyka zaczęła się jednak kruszyć, kiedy – z racji światowych zasięgów – pojechałem do kuzyna pod Paryż. To, co tam zobaczyłem, zmroziło mi krew w żyłach.

Szare bloki stoją tam jak betonowe baraki po oblężeniu: odpadający tynk, wybite szyby, klatki schodowe śmierdzące uryną i strachem, a na ścianach tagi zamiast numerów mieszkań. Elektryczności brak. W mieszkaniach palą się ogniska. Na ulicach rządzą grupy młodych mężczyzn bez pracy i bez perspektyw. Sklepy obudowano kratami. Policja pojawia się wyłącznie w kolumnach, na sygnałach, z karabinami gotowymi do strzału – jak by wjeżdżała na teren wroga. To krajobraz równoległego świata.

Francuzi mają na to własne słowa: *ensauvagement* (czyt. ąsoważmą) albo *zones de non-droit* (zon de non-drła) – zdziczenie, strefy bezpańskie.

– Nasza hugoliańska wiara w człowieka zbankrutowała – tłumaczy mi kuzyn. – Za niemieckiej okupacji czuliśmy się tu bezpieczniej: hitlerowcy byli przynajmniej przewidywalni. Przesada – dodaje po chwili – za Hitlera jeszcze mnie nie było.

Posłuszni, dyspozycyjni i niewidoczni

No więc jest problem, z którym polityczną poprawnością nie da się już niczego załatwić. Z jednej strony Mariusz Błaszczak przekonuje, że „legalna migracja w sytuacji, w której przyjeżdżają ludzie do pracy – do pracy, której nie wykonują Polacy – jest koniecznością", bo bez niej „gospodarka polska nie mogłaby się rozwijać".

Z drugiej, lewej, strony, słyszymy właściwie to samo. Magdalena Biejat podkreśla, jak bardzo przedsiębiorcom brakuje rąk do pracy, że słyszy o tym na każdym spotkaniu i że dobrze, iż imigrantów jest więcej.

Różnice ideologiczne kończą się zatem tam, gdzie zaczyna się interes. No właśnie kogo? Obie strony zakładają ten sam scenariusz: imigracja ma być legalna, imigranci – posłuszni, dyspozycyjni i niewidoczni. Mają przyjechać, zrobić swoje, a potem grzecznie wyjść z kadru.

Mamy więc układ schizofreniczny. Z jednej strony druty kolczaste na granicy i opowieść o obronie Europy. Z drugiej – polityczne przyzwolenie na masowy import taniej siły roboczej. A z trzeciej – czarny rynek wiz obsługiwany przez polskie państwo, który nadaje temu wszystkiemu pozory legalności.

System opiera się na fikcji, że urzędnik w konsulacie, na podstawie formularza i kilku pieczątek, jest w stanie rozstrzygnąć, czy do Unii wjeżdża „grzeczny kierowca Ubera", czy kompletnie zdemoralizowany wykolejeniec z butelką benzyny w dłoni.

No ale porozmawiajmy teraz o naszej nowoczesnej gospodarce, która bez Kolumbijczyków, ukraińskich dezerterów i innych „zasobów ludzkich" po prostu się zawali. Jak to się dzieje, że przy 888 tys. bezrobotnych zarejestrowanych i 1,2–1,5 mln osób biernych zawodowo, które deklarują chęć podjęcia pracy, jedyną odpowiedzią systemu jest import siły roboczej?

Legalny import, nielegalny wyzysk

Po pierwsze, legalnie importowana siła robocza wcale nie powinna być tańsza od miejscowej. Prawo jest jedno dla wszystkich. Te same minimalne stawki godzinowe, ten sam obowiązek ubezpieczenia, te same normy BHP, a do tego – w wielu przypadkach – obowiązek zapewnienia zakwaterowania i dowozu do pracy.

A jednak w Polsce pracuje dziś około 1,3 mln cudzoziemców. Nie dlatego, że są lepiej wykwalifikowani, bardziej zmotywowani czy kulturowo predestynowani do skręcania mebli szybciej niż Polacy. Powód jest prostszy i brzydszy: to jest biznes. I to jest oszustwo.

Legalność kończy się zwykle na wniosku wizowym. Dalej zaczyna się kreatywna księgowość, agencje-wydmuszki, fikcyjne umowy, potrącenia „za łóżko", „za transport", „za pomoc w legalizacji", „za powietrze". Cudzoziemiec formalnie zarabia minimalną krajową, realnie dostaje ochłapy.

12 godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, osiem osób w pokoju

Mógłbym wymienić z imienia i nazwiska całkiem szanowanych „biznesmenów" (z legitymacją słusznej partii), którzy na imporcie półniewolniczej pracy robią dziesiątki milionów rocznie. Mógłbym wskazać konkretne zakłady pracy – na przykład fabryki meblowe – gdzie ludzie pracują po 12 godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, w hałasie i chemii, śpiąc po ośmiu w jednym pokoju, bo „tak wychodzi taniej". Oficjalnie – wszystko zgodnie z prawem. Faktycznie – plantacja, tylko bez palm.

W sprawozdaniu Państwowej Inspekcji Pracy za 2024 r. czytamy, że inspektorzy stwierdzili naruszenia prawa wobec zatrudnionych cudzoziemców w ponad 14 tys. podmiotów, doprowadzili do wypłaty zaległych wynagrodzeń na 268 mln zł oraz udzielili blisko 170 tys. porad prawnych.

Mógłbym wskazać inspektorom jeszcze kilka kierunków, w których warto byłoby zajrzeć, ale na tym etapie poprzestańmy na statystyce. Redakcja nie dysponuje zapleczem procesowym pozwalającym na otwarte starcia z rekinami handlującymi siłą roboczą.

Importujemy wyzysk

Sytuacja wcale nie jest jednoznaczna. Z jednej strony słyszymy, że trzeba – że bez importu siły roboczej gospodarka się zawali. Z drugiej strony coraz trudniej oprzeć się wrażeniu, że wcale nie trzeba, bo ludzie są na miejscu. Albo więc oszustwem jest teza, że brakuje rąk do pracy, albo oszustwem jest twierdzenie, że Polacy do tej pracy się nie nadają.

Dlaczego więc tak to wygląda? To nie jest problem stricte ekonomiczny. To problem socjologiczny i mentalny.

Po pierwsze, w Polsce nie jest tak, że ludzie masowo umierają z głodu, gdy nie mają pracy. Istnieją programy socjalne, wsparcie rodziny, dorywczość, szara strefa. Krótko mówiąc, istnieje pewien margines wolności.

A wolny człowiek, którego nie da się docisnąć do ściany wizją absolutnej nędzy, jest dla radykalnie wolnorynkowej gospodarki problemem strukturalnym. Bo przedsiębiorca nie potrzebuje pracownika w sensie partnerskim. On potrzebuje narzędzia.

Kogoś, kto przyjdzie, zrobi swoje, nie zapyta „dlaczego", nie pójdzie na L-4, nie podniesie głowy. Młotka, tragarza, trybiku. Pracownik z alternatywą życiową psuje ten model.

Po drugie, istnieje cicha zgoda społeczna, że w każdym społeczeństwie ktoś musi mieć gorzej. Bezrobotni nie protestują masowo przeciw temu, że rynek jest zalewany tanią siłą roboczą, bo dostają zasiłek i – co ważniejsze – widzą poniżej siebie jeszcze kogoś bardziej sponiewieranego. To daje złudne poczucie hierarchii i bezpieczeństwa: nie jest dobrze, ale przynajmniej nie najgorzej.

I wreszcie po trzecie, są jeszcze dobrodzieje-pracodawcy. Dla części z nich zatrudnianie cudzoziemców to nie tylko rachunek ekonomiczny, ale też symboliczna nobilitacja. Lokalny przedsiębiorca z prowincji może poczuć się jak globalny gracz: daje pracę, ratuje ludzi, buduje wielokulturowość. W tej narracji przestaje być zwykłym stolarzem czy właścicielem hali – staje się filantropem historii, który daje chleb tym, którzy bez niego rzekomo nie mieliby nic.

Szacunek? To się nie opłaca

W Polsce nie brakuje rąk do pracy. Brakuje godnych warunków. Za to nadmiarowo dostępne są warunki niegodne – niskie płace, niestabilność, arbitralność decyzji, pogarda wpisana w relację pracodawca–pracownik. I właśnie do tych warunków potrzebni są ludzie, którzy zgodzą się na poniżenie, wyzysk i bezduszność, bo nie mają wyboru.

Gdyby naprawdę nie było komu pracować, podniesiono by płace, poprawiono warunki, zainwestowano w szkolenia. Ale tego się nie robi. Zamiast tego importuje się takich, którym można powiedzieć: „jak się nie podoba, wracaj". W Polsce deficyt nie dotyczy pracy. Dotyczy szacunku.

Recepta na migrację z sensem

Ten model gospodarczy musi się wykoleić. Opiera się na taniej, słabo chronionej pracy, co prowadzi do niskiej produktywności, wysokiej rotacji i braku innowacji. PKB rośnie „na sterydach", ale bez fundamentów na przyszłość.

Import pracowników nie rozwiązuje problemu demografii. Migranci nie zakładają tu rodzin, a Polaków zniechęca się do posiadania dzieci przez niestabilną pracę, drogie mieszkania i niepewną przyszłość.

Polska potrzebuje migracji selektywnej, stabilnej i osiedleńczej, a nie masowego importu ludzi jednorazowego użytku. Potrzebuje cudzoziemców, którzy zostaną, założą rodziny, będą płacić podatki i składki, staną się częścią społeczeństwa – a nie pracowników na chwilę.

Nie potrzebujemy cudzoziemców do utrzymywania patologicznie niskich płac, do obchodzenia prawa pracy, do dyscyplinowania własnych obywateli strachem przed zastąpieniem.

Problem więc nie brzmi: czy cudzoziemcy są potrzebni. Problem brzmi: czy chcemy państwa, które buduje przyszłość, czy gospodarki, która tylko kupuje sobie czas. Jeśli wybieramy to drugie, to odpowiadam: cudzoziemcy będą potrzebni zawsze. Ale potem zabraknie już wszystkiego innego.

ROBERT JARUGA

nie zleciła Akcja Uczniowska, organizacja zrzeszająca aż 50 aktywistów. Ci wywrotowcy zaapelowali o ustawę antyalkoholową. Chcą zakazu reklamy, podniesienia akcyzy, nocnej prohibicji i rzecznika ds. profilaktyki uzależnień. Czyli nic ciekawego i nic nowego, jak na młodocianych głupców przystało. Niech się zajmą nauką, a nie wtrącają w sprawy dorosłych. W końcu kto im będzie płacił emerytury, jak wszyscy przestaną pić?

■ GDDKiA ogłosiła, że 14-kilometrowy odcinek autostrady A2 między Sworami a Białą Podlaską jest gotowy od czerwca i ma zgodę na użytkowanie. Ale... no właśnie, jest pewien haczyk. Nie można go użytkować, bo gdzie indziej są opóźnienia z powodu niesprzyjających warunków atmosferycznych. Zimowe deszcze, śnieg i przymrozki – kto by się spodziewał takich anomalii w Polsce? Ale to nie wszystko. Brak perspektyw na otwarcie przejścia granicznego z Białorusią czyni ten odcinek autostrady w zasadzie niepotrzebnym. A wręcz niebezpiecznym! Taka autostrada to przecież autostrada dla białoruskich traktorów uzbrojonych w karabiny maszynowe, gnających wprost na Warszawę.

■ W wieku 66 lat zmarł Sylwiusz Jakubowski, wieloletni wójt gminy Żelazków w Wielkopolsce. Kierował gminą przez siedem kadencji, co jest rzadkością w polskim samorządzie. Urząd gminy podkreśla, że Jakubowski „trwale zapisał się w historii lokalnego samorządu". I to prawda. Jego dokonania opisywały ogólnopolskie media: udzielał ślubu po pijaku, groził wpierdolem mieszkańcom, wzywał straż do nieistniejącego pożaru, pobił policjanta, napadł na ekipę telewizyjną, znęcał się nad rodziną, dachował autem po pijaku, pastwił się nad podwładnymi. Żegnaj, Sylwiuszu. Bez ciebie Żelazków już nie będzie taki sam, a i nam jest ciężko na sercu i lżej w portfelu. Bo kto nam teraz dostarczy takich wierszówek jak ty?

RJ

Rys. WIDGET

PS Doniesienia pochodzą bezpośrednio z terenu, z pulsującej tkanki rzeczywistości. Jako takie mogą nosić ślady lokalnego chaosu informacyjnego. Gdyby więc okazały się nieścisłe, nie jest to wynikiem naszej złej woli, lecz skutkiem obiektywnych zakłóceń w łańcuchu komunikacyjnym. Niech więc nikt nie ośmieli się grozić nam paragrafami! Prawo stoi po stronie światła, nie cienia.

eprasa.pl 769dc3e8be

I bądź tu mądry

Do metod na wnuczka, policjanta czy bankowca, dochodzi jeszcze metoda na instalatora OZE.

Media korzystające z informacji od ludzi związanych z fotowoltaiką wyliczają, że inwestycja w panele i magazyn energii bywa rentowna już po 4–6 latach. Gdyby nie było dotacji na taką instalację, to zwróci się ona ponoć po 8–10 latach przy żywotności paneli rzędu 25–30 lat.

Trzeba jednak pamiętać, że wokół fotowoltaiki zrodziło się potężne lobby – firmy instalacyjne, sprzedawcy paneli, producenci sprzętu, dystrybutorzy. W ich interesie jest, żeby do prądu ze słońca dopłacało państwo, bo dzięki temu znajdą się kolejne setki tysięcy chętnych na panele na dachu.

Oczywiście jest też druga strona. To dzięki niej w społecznościówkach co jakiś czas wraca temat „nabitych w fotowoltaikę" – ludzi, którzy wydali sporo pieniędzy, a oszczędności okazały się mniejsze niż obiecywano. Miłośnicy fotowoltaicznej kasy od razu dają odpór, pokazując, że takie przypadki biorą się z powodu zbyt małej instalacji względem zapotrzebowania, nieocieplonego domu czy nadziei na gigantyczne oszczędności niezależnie od wzrostu zużycia prądu. Ten temat jest bardzo chodliwy – przynosi kliknięcia, bo łatwo wzbudzić emocje.

Ciepło z gruntu

Do pełni szczęścia ekologiczno-ekonomicznego brakuje jeszcze pompy ciepła. Komplet ma dawać ciepło, komfort i niższe rachunki. Minimalny koszt inwestycji zaczyna się na poziomie 60–70 tys. zł. Oczywiście mądre media sponsorowane przez firmy żyjące z tych ustrojstw przekonywały do fotowoltaiki o wyższej mocy, gruntowej pompy ciepła, a do tego magazyn energii – tak, żeby koszty poszły w górę niemal trzykrotnie. Bo tylko wtedy będzie miało to sens.

Wyliczano, że w sprzyjających warunkach – domu dobrze izolowanego, z rozsądnym zapotrzebowaniem na ciepło i przy dotacjach – inwestycja może się zwrócić po 5–15 latach, przy czym „średni czas zwrotu" to 6–17 lat. Wszystko jednak zależało od czterech kluczowych czynników: jakości montażu, doboru mocy pompy do potrzeb domu, stanu termoizolacji budynku i kosztu energii elektrycznej.

W czasie boomu na pompy ciepła ok. 2022 r. wszędzie, gdzie stały domy jednorodzinne, pojawiali się akwizytorzy obiecujący ludziom darmowy prąd i ciepło. I to bez prac izolacyjnych i bez przygotowania fundamentów, bez realnego planu zużycia.

A kiedy pojawiły się pierwsze „rachunki grozy", wielu łapało się za głowę. Historie takie powielano jako dowód na to, że pompy ciepła to oszustwo. A gdy kolejni niezadowoleni zaczęli głośno krzyczeć – medialna panika przybrała skalę na miarę kryzysu zaufania.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Oczywiście lobbyści pomp ciepła i tu zareagowali. Opisywali, że część z tych rachunków to prognozy, a nie rzeczywiste zużycie. Dostawcy rozliczają się bowiem często na podstawie szacunków, przyznając zaliczki miesięczne – które mogą być zawyżone. Po pewnym czasie dochodzi do rozliczenia wyrównawczego – często z dużą nadpłatą. Wyciągano też to, że niektórzy instalatorzy sięgali po tanie, często importowane pompy ciepła o wątpliwej jakości.

Efekt? Po boomie sprzedaż pomp spadła. Coraz więcej ludzi z ostrożnością podchodzi do deklarowanych oszczędności. Główkując, czy pompy ciepła to rzeczywiście przyszłość, czy kolejna moda.

Trociny z zagranicy

W dyskusji o tanich źródłach energii biomasa – głównie w postaci pelletu lub drewna – zawsze miała swoją niszę. Ta nisza nagle stała się łakomym kąskiem dla producentów, importerów, sprzedawców kotłów i dla tych, którzy chcieli nadal palić czymś „dla klimatu", ale po staremu.

Pomysł jest prosty – drewno to odnawialny surowiec, pellet można transportować, wiele kotłów można zasilać biomasą. I jeśli ktoś uprawia lasy albo importuje drewno – dlaczego nie? Tyle że to, co sprytnie sprzedano jako „czyste ogrzewanie", dla części świata i środowiska – jest katastrofą. Jak przekonują przedstawiciele organizacji działających na rzecz ochrony lasów, producenci pelletu zaspokajający europejskie zapotrzebowanie często sięgają po całe drzewa – a nie tylko odpady tartaczne.

Efekt jest ciekawy. Z jednej strony rzekoma transformacja klimatyczna, z drugiej – realne wyręby lasów, zniszczenie ekosystemów, degradacja klimatu. W dodatku spalanie drewna i pelletu zwalnia uwalnianie węgla, który drzewa magazynowały przez dziesięciolecia. Węgiel ten śmiga zaś do atmosfery w formie tak nielubianego dwutlenku węgla. To dlatego wielu działaczy ekologicznych ostrzega, że biomasa to nie przyszłość, tylko cofanie się. Importując miliony ton pelletu z Ameryki Północnej czy innych kontynentów – Europejczycy przerzucają problem, zamiast go rozwiązywać.

Na końcu jest wodór

Wielkie nadzieje pokładano też w wodorze jako paliwie przyszłości, które może zastąpić gaz, paliwa kopalne, a nawet być nośnikiem energii z OZE. W Polsce produkcja wodoru rośnie, a sektor przyciąga inwestycje. Według analizy z 2025 r. rynek wodoru i ogniw paliwowych w Polsce jest wyceniany na około 1,1 mld dol.

Ale rzeczywistość mierzona w złotówkach i bilansach firm często brutalnie zderza się z idealistyczną wizją. Przykład – sieci stacji wodorowych należącej do Zygmunta Solorza, mimo unijnych grantów i dotacji, nie udało się osiągnąć rentowności. Koszty operacyjne znacznie przewyższyły przychody, a firma zakończyła 2024 r. stratą 14,17 mln zł. Co więcej, planowane stacje przy drogach transeuropejskich są dziś w fazie planów. Bo choć konsumenci auta na wodór mogą chcieć, to na razie ich liczba nie jest na tyle duża, by przedsięwzięcie było opłacalne. Łatwo dostrzec, że transformacja energetyczna – przynajmniej w Polsce – już dawno przestała być sprawą ekologii, a stała się gigantycznym biznesem.

Fotowoltaika, pompy ciepła, wodór, biomasa – każda technologia to inny segment z własnym gronem inwestorów, sprzedawców, importerów, firm montażowych, producentów sprzętu, a nawet doradców. I każdy chce na tej fali zarobić.

A tam gdzie interesy rosną, tam również narracje się radykalizują. Pojawiają się dramatyczne nagłówki: „rachunki grozy", „oszuści", „nabici w pompę ciepła/panele". Dziennikarze problemami OZE sami z siebie się nie zajmują, bo to nie temat dla mediów: koszty, rozliczenia prosumenckie, sprawności instalacji to nie są tematy mogące porwać czytelnika. Dlatego

większość dezinformacyjnej aktywności przychodzi z zewnątrz. Krajom, które przez lata żyły z eksportu gazu, ropy i węgla, nie jest na rękę, by Europa stawała się samowystarczalna energetycznie.

W Polsce, gdzie decyzje o źródłach ciepła i energii są dziś gorącym tematem politycznym, narracja o zawodności OZE ma charakter destabilizujący. Duża część krytyki, paniki, medialnych oskarżeń to efekt celowych kampanii, często finansowanych przez interesy wolące utrzymać węglowodorowe status quo. Oczywiście mnóstwo minusów OZE przedstawiają działający na rynku cwaniacy od doradztwa, doboru sprzętu czy niemający pojęcia spece od montażu. Ale tak było zawsze.

Ignorowanie tych problemów przez państwo może sprawić, że OZE staną się synonimem rozczarowania. Z drugiej strony dezinformacja i medialne paniki często odciągają uwagę od realnych sukcesów. Od tysięcy domów, w których instalacje działają, od ludzi, którzy dzięki OZE obniżyli rachunki, od firm, które inwestują w uczciwe technologie.

Konia z rzędem jednak temu, kto będzie mądry w tej plątaninie kłamstw, marketingu i lobbingu. Tym kimś powinno być państwo z jego ekspertami, dzięki którym ktoś, kto wykłada ciężką kasę, a od państwa dostaje dotację, będzie wiedział, że nie pakuje się na minę. Ale państwa, widać, nie interesuje, na co idzie kasa z dofinansowań. Państwo ma mieć fajnie wypełnione rubryki dla Brukseli i nie obchodzi go to, że ktoś popłynął na dziesiątki tysięcy złotych, instalując jakieś badziewie. W końcu jeśli zainwestował, to znaczy, że go było stać.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie w dobrobycie

● Wydarzyło się coś, co powinno dać do myślenia nawet najbardziej zapalonym wyznawcom zielonej przyszłości. Polskie Sieci Elektroenergetyczne odnotowały rekordowe zapotrzebowanie na moc – ok. 30 GW brutto. Nigdy wcześniej polski system nie potrzebował aż tyle prądu naraz. Poprzedni rekord, sprzed dwóch lat, właśnie został pobity. I to wyraźnie. Dlaczego tak się stało? Bo było zimno. Operator uspokajał, że system działa stabilnie, ale między wierszami padła informacja kluczowa: zdecydowaną większość zapotrzebowania pokryły krajowe źródła energii, głównie elektrownie cieplne. Czytaj: węglowe. Owszem, odnawialne źródła też coś dołożyły. Fotowoltaika i wiatraki dały razem prawie 6 GW. Brzmi nieźle, dopóki nie zestawi się tego z zapotrzebowaniem rzędu 30 GW. Bo co by było, gdyby na panelach fotowoltaicznych zaległa gruba warstwa śniegu, a wiatr by nie wiał wcale? Tymczasem jedyna planowana elektrownia jądrowa, która ma w przyszłości zastąpić część mocy węglowych, ma mieć 3,75 GW. Raptem. To niewiele więcej niż to, co wyprodukowała sama fotowoltaika. I zaledwie ułamek tego, czego cały kraj potrzebował w mroźny dzień. Rząd mówi: „Odejście od węgla". Tylko nie mówi jasno, czym ten węgiel zostanie zastąpiony przy –10 st. C. Bo przecież nie atomówkami, których powinniśmy już budować z sześć. Importem? Można oczywiście wierzyć, że technologia nas uratuje. Że atom, baterie, magazyny energii i wodór spadną z nieba szybciej niż pierwszy śnieg. Może i tak. Ale żeby spadły, trzeba by je budować, a nie bajdurzyć o odchodzeniu od węgla.

● Jeszcze niedawno wmawiano nam, że jest rynek pracownika i wystarczy chcieć pracować, a robota sama się znajdzie. Dziś można chcieć, wysyłać CV hurtowo i nadal oglądać skrzynkę mailową pustą jak lodówka po świętach. Bezrobocie rośnie nie dlatego, że Polakom się nie chce, tylko dlatego, że coraz częściej nie ma dla nich pracy. Firmy bowiem przestają zatrudniać tak, jak zatrudniały. Etat trafia do lamusa. Zamiast tego mamy mikrokontrakty, projekty na miesiąc albo dwa i „wynajem zespołów". Pracownik dziś nie jest już „na zawsze", jest „do dowiezienia zadania". Potem – do widzenia. Do tego dochodzi nowe zjawisko – fałszywe rekrutacje. Służą nie szukaniu pracownika, ale temu, żeby „zbadać rynek", sprawdzić stawki albo – w wersji bardziej kreatywnej – znaleźć kogoś, kto za własne pieniądze podnajmie tańszego specjalistę z drugiego końca świata. W IT to już niemal standard. Ktoś formalnie pracuje w Polsce, a programy piszą mu Hindusi czy Filipińczycy. Jednocześnie płace się rozjechały. Są dwa bieguny. Albo minimalna i okolice, albo bardzo dobre pieniądze dla wąskiej grupy specjalistów. Ludzie ze „środka tabeli" stoją w miejscu i patrzą, jak inni dostają podwyżki tylko dlatego, że rośnie płaca minimalna. Najbardziej dostaje się młodym. Oferty dla nich wyparowały. To, co kiedyś było pierwszym szczeblem kariery, dziś robi automat albo sztuczna inteligencja. Efekt? Mamy bezrobotnych absolwentów i narzekania, że „nie ma specjalistów". Szczególnie zabawnie wygląda nagle odkryta miłość pracodawców do osób po pięćdziesiątce. Co jakiś czas słyszymy, że „rynek pracy otwiera się na 50 plus". Brzmi pięknie, tylko w praktyce oznacza to najczęściej gotowość do zatrudnienia kogoś doświadczonego, o ile zgodzi się na elastyczną umowę, elastyczne godziny i jeszcze bardziej elastyczne wynagrodzenie. Senior z doświadczeniem – tak. Senior z oczekiwaniami finansowymi – broń Boże. Bezrobocie więc rośnie. Politycy debatują o wskaźnikach. Ludzie zaś liczą, że następny kontrakt wpadnie szybciej, niż skończą się oszczędności.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

● Dotychczas było tak, że obowiązek zapłacenia podatku od spadku powstawał z chwilą jego nabycia, a nabycie – zgodnie z kodeksem – następowało w momencie śmierci spadkodawcy. Czy spadkobierca o tej śmierci wiedział, nie miało żadnego znaczenia. Od śmierci miało upłynąć sześć miesięcy. Jeśli w tym czasie człowiek nie złożył oświadczenia o przyjęciu lub odrzuceniu spadku, to znaczyło, że spadek przyjął. A skoro przyjął, to i podatek się należał. Teraz to się zmienia. Obowiązek podatkowy ma powstawać dopiero w chwili uzyskania dokumentów potwierdzających przyjęcie spadku. Brzmi rozsądnie, więc propaganda uznała to za przełom. Podatek nie jest naliczany, jeśli wartość spadku nie przekracza 36 120 zł w pierwszej grupie podatkowej, 27 090 zł w drugiej i 5733 zł w trzeciej. Kwoty wyglądają konkretnie, tyle że przy obecnych cenach mieszkań i samochodów wystarczą stare auto i kawałek działki, żeby próg przebić. A wtedy fiskus już czeka. Oczywiście jest jeszcze grupa zerowa, czyli najbliżsi całkowicie zwolnieni z podatku. Ale tylko pod warunkiem, że zgłoszą wszystko w ciągu sześciu miesięcy od momentu, gdy sądowe orzeczenie raczy się uprawomocnić. Rząd ogłasza więc, że „w końcu chroni obywateli przed dziedziczeniem długów". Tyle że długi nadal się dziedziczy. Zmieniło się jedynie to, że państwo daje trochę więcej czasu, by zorientować się, że w spadku nie ma fortuny, tylko komornik. To nie rewolucja. To kosmetyka.

● Dzięki starym podatkom rząd robi kampanię pod hasłem „Robimy, nie gadamy". W jej ramach kancelaria premiera wydała na promocję własnych sukcesów ponad 7,87 mln zł. Na ulicach polskich miast zawisły billboardy. Pociąg pędzi przez zielone pole, a pod nim hasło: „Ten rząd przywraca połączenia kolejowe". Jest młoda para całująca niemowlę i komentarz: „Ten rząd odblokował in vitro". Jest żołnierz na tle metalowego płotu z zapewnieniem: „Ten rząd chroni polskie granice". Samych billboardów było 234. Koszt ich wykupienia to prawie 1,23 mln zł. Tyle trzeba zapłacić, żeby przypomnieć obywatelom, że rząd istnieje i coś robi. Ale billboard to dziś za mało. Dlatego rząd wyprodukował też spoty do telewizji, radia i internetu. Produkcja kosztowała pomad 585 tys. zł. Zlecenie dostało konsorcjum dwóch prywatnych spółek wyłonione w przetargu. Do tego dochodzi czas antenowy. Ile dokładnie kosztował, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że skoro całość zamknęła się w kwocie prawie 7,9 mln zł, to emisja spotów musiała swoje kosztować, a prorządowe telewizje – zarobić. Najtańsza w tym zestawie okazała się strona internetowa kampanii. Koszt: 5220 zł. Można na niej przeczytać, że rząd „realizuje konkretne działania zamiast pustych obietnic", obejrzeć spoty i zapoznać się z cytatem Tuska, że Polska to 20. gospodarka świata. Na tym autopromocyjna karuzela się nie kończy. Swój kamyczek do ogródka propagandy sukcesu dołożyły bowiem spółki skarbu państwa. Informują obywateli, jak świetnie idzie z prądem, jak stabilnie jest z gazem i jak bardzo ceny są pod kontrolą. Spoty, reklamy, kampanie wizerunkowe – wszystko oczywiście „informacyjne". Formalnie nierządowe. A finansowanie? Równie publiczne, tyle że przechodzące przez inne kieszenie. I tylko obywatel, patrząc na kolejny plakat z napisem „Ten rząd…", może się zastanawiać, czy przypadkiem nie płaci za to drugi raz. Raz w podatkach. Drugi raz w rachunkach za prąd i gaz.

TTJ

eprasa.pl 769dc3e8be

Prezydent à la Sorentino

Skromny przewodnik po „La Grazii”

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ostatni film Paola Sorrentina – „La Grazia” – to niejako crossover wszystkich interesujących go i poruszanych dotychczas tematów. Znajdziemy tam nieco „Wielkiego piękna” ze znudzonym Tonim Servillo przesiadujących na eleganckich otomanach w pełnym przepychu salach. Znajdzie się tam cynizm oraz muzyczne, elektroniczne wstawki z jego początkowych produkcji typu „Skutki miłości” czy „Boski”. Mamy nieco „Młodego papieża” pod postacią ekscentrycznego czarnoskórego szefa Kościoła kat. z dredami, jeżdżącego na motorze. Mamy też w końcu i włoską politykę.

Tym razem Sorrentino zamiast pastwić się nad którymś z żywych polityków – zarówno Giulio Andreotti, jak i Silvio Berlusconi podczas premiery kolejno „Boskiego” i „Loro” jeszcze żyli – postanowił wykreować sobie własnego. W roli protagonisty stawia granego – a jakże – przez Toniego Servillo prezydenta Republiki Włoskiej Mariano De Santisa. Prezydent z „La Grazii” nie jest jednak oderwany od włoskiej rzeczywistości politycznej, wręcz przeciwnie: sam reżyser przyznaje, że Mariano De Santis jest zlepkiem aktualnego prezydenta Republiki Włoskiej – urzędującego od ponad dekady Sergia Mattarelli – oraz jego poprzednika, Giorgia Napolitano (2006–2015). Pozwólmy więc sobie na zdekodyfikowanie prezydenta De Santisa w kontekście nie tylko wyżej wymienionych głów państwa, ale istoty włoskiej prezydentury w ogóle. Być może niektórym z Państwa (mimo paru spojlerów) ułatwi to odbiór tego naprawdę ciekawego filmu.

Czy De Santis to Mattarella?

Podobieństwa są ewidentne. Podobnie jak Mattarella, Mariano De Santis jest chadekiem – nie ultraprawicowym, acz umiarkowanie konserwatywnym i wierzącym. Przechodzi swego rodzaju kryzys wiary oraz dotychczas wyznawanych przez siebie wartości, głównie z powodu śmierci żony, która odeszła osiem lat wcześniej; jego głównym oparciem oraz prawą ręką w pałacu prezydenckim jest jedyna córka i zdolna prawniczka, Dorotea. Sergio Mattarella owdowiał kilkanaście lat temu, a od kiedy urzęduje w pałacu prezydenckim, rolę pierwszej damy sprawuje jego jedyna córka Laura Mattarella, adwokatka i specjalistka od prawa administracyjnego.

Podobnie jak Mattarella i Napolitano, filmowy prezydent De Santis pochodzi z południa (Mattarella jest Sycylijczykiem, a Napolitano pochodzi z Neapolu, tak jak grany przez Servilla De Santis) – i niełatwo mu odnaleźć się w północnocentrycznej, włoskiej rzeczywistości politycznej. „Południowość” prezydenta Mattarelli jest zresztą naznaczona unikatowym sycylijskim doświadczeniem: jego brat Piersanti Mattarella, będąc prezydentem regionu Sycylii, otwarcie walczył z Cosa Nostrą – jako jeden z niewielu chadeckich polityków (włoska Chrześcijańska Demokracja była określana jako bardzo przychylna mafii, a wręcz z nią kolaborująca). Wszyscy trzej prezydenci – dwaj prawdziwi i jeden filmowy – są więc swego rodzaju przeciwwagą dla nadal uprzedzonego względem południa ogółu włoskiej polityki.

Fabuła filmu kręci się wobec dwóch palących spraw – prezydent De Santis ma pół roku, aby zdecydować, czy podpisze ustawę o eutanazji (we Włoszech prezydent dysponuje „miękkim” wetem; parlament może je odrzucić zwykłą większością) oraz czy ułaskawi dwie osoby odsiadujące wyrok za zabójstwo. Podobnie jak Sergio Mattarella, De Santis wykazuje się poszanowaniem dla konstytucji. Obecny prezydent republiki sędzią co prawda nigdy nie był, ale z wykształcenia jest prawnikiem i akademikiem, który zajmował się przede wszystkim prawem konstytucyjnym. Aby nie zdradzać w pełni zakończenia filmu, napiszę jedynie, że prezydent De Santis w końcu decyduje się wyjść ze swojej strefy komfortu – co jest niepodobne nie tylko do niego, ale też do „betonowego” urzędu, jakim jest we Włoszech prezydent.

Ustrojowy żelbet

Istotą włoskiego prezydenta ma być fakt, że trwa – jest stałą w pełnym zmiennych politycznym teatrze włoskiego parlamentu. Zauważmy, że przed zaskakująco stabilnymi rządami Giorgii Meloni premierzy zmieniali się średnio co dwa lata.

Filmowy Mariano De Santis ma pseudonim „żelbet” – tak jak Sergio Mattarella przeżył różnorakie zawirowania. Mattarella przetrwał pandemię, strajki generalne, kilkukrotne salta rządu oraz zagrożenie, że w 2022 r. prezydentem zostanie Silvio Berlusconi. Uzyskał jednak reelekcję, a Il Cavaliere (rycerz) – jak nazywano Berlusconiego – ostatecznie usunął się w cień i krótko po tym, bo w 2023 r., zmarł. Zdaje się zresztą, że do tej sytuacji nawiązuje filmowa scena, w której De Santis pojawia się w mediolańskiej La Scali i jest gromko oklaskiwany przez całą publiczność.

Wymaga to wyjaśnienia w kontekście osobliwości włoskiego ustroju: po odejściu z rządu prezydent zostaje dożywotnim senatorem. Filmowy De Santis rezygnuje z prezydentury w tak zwanym *semestre bianco* (biały semestr: ostatnie pół roku kadencji prezydenta, kiedy nie może on rozwiązać parlamentu – co generalnie ma prawo zrobić). De Santis zyskuje więc mandat senatora i ma wpływ na to, kto zostanie kolejnym prezydentem republiki – zgodnie z włoską konstytucją wybieranym przez Izbę Deputowanych, Senat oraz delegatów regionalnych. Ze sceny w La Scali można wnioskować, że uchronił on Włochów przed kimś, kogo bardzo nie chcieli.

Kolejnym, ważnym do zapamiętania faktem podtrzymujący tezę o „betonowym tronie” jest fakt, że

kandydat na włoskiego prezydenta musi mieć co najmniej 50 lat. W praktyce jednak pięćdziesięciolatek na prezydenturę we Włoszech nie ma szans – gdy Napolitano obejmował urząd, miał lat 80; Mattarella tylko 73.

Włosi nie oczekują, że urząd prezydenta obejmie ktoś młody i dynamiczny; wolą polityka, który przysłużył się ojczyźnie wcześniej, a prezydenturę potraktuje jako zwieńczenie kariery. Podeszły wiek prezydenta De Santisa jest w filmie podkreślany wielokrotnie.

• • •

„La Grazia” z pewnością nie jest najlepszym dziełem Sorrentina – ale zdecydowanie zasługuje na obejrzenie, zarówno z perspektywy politycznej, jak i bardziej sentymentalnej; jak reżyser sam mówi, jest to film o miłości. Szczerze powiedziawszy, jako wielbicielka dzieł Paola Sorrentino, myślę sobie, że reżyser – który ma 55 lat – jest jeszcze zdecydowanie za młody na nostalgiczne, nieco podsumowujące jego dotychczasowy dorobek filmy. Jednak dla zainteresowanych włoską polityką „La Grazia” bez cienia wątpliwości stanowi gratkę. Czekam z niecierpliwością, co o filmie powie prezydent Mattarella.

ANTONINA STEFFEN

Podkarpacie jak Teksas

Swojskie odczytanie serialu „Klub polujących żon”

W naszej rzeczywistości pełnej pseudomachopolitykierów i celebrytów warto w ramach odtrutki sięgnąć po serial „Klub polujących żon”, który wyreżyserowała Rebecca Cutter. Chłopaki na bok – to najbardziej zwięzła esencja produkcji Netflixa. Czekając na drugi sezon – już nakręcony, w tym roku ma pojawić się w sieci – zastanawiam się, czy i kiedy powstanie rodzima adaptacja świetnej powieści May Cobb pod tym samym tytułem.

My już są Amerykany?

Skoro mamy Wisłę Płock – polską Barcelonę, Macieja Zakościelnego – polskiego Brada Pitta, Zenka Martyniuka – polskiego Stinga, to czemu nie mamy mieć dobrego serialu o świętojebliwych żonach liderów Podkarpacia czy Podlasia? Może nie mamy teksańskich pustyń i ropy, ale są u nas pola bogate kartoflami i cebulą. Zamiast pistoletów i strzelb – staropolskie cepy, sztachety z płotu i łańcuchy „krowiaki”, w walce na bliską odległość nawet skuteczniejsze od tych pierwszych, a nade wszystko nasze. A jak wiadomo, co nasze, to najlepsze.

Akcja „Klubu…” toczy się pośród teksańskich elit fikcyjnego miasta Marple Brook oglądanych z perspektywy ich piękniejszej części. Główną bohaterką jest młoda, choć kryjąca mroczną tajemnicę z przeszłości Sophie O’Neill (świetna Brittany Snow), wykształciuszka z Massachussetts, która osiada we wschodnim Teksasie, gdzie wpada w oko żonie szefa Margo Banks (czarująco zdzirowata Malin Banks). Co ciekawe, główne bohaterki są biseksualne i w ogóle bogobojne chrześcijanki wolą inne chrześcijanki, choć nie gardzą też facetami, którzy zapewniają im życie na bogato. Wiadomo: żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek.

Margo to szefowa nieformalnej grupki najbardziej wpływowych w lokalnej społeczności pań, takich co polują, jeżdżą po pijaku i generalnie – w granicach władzy, wyznaczonych przez pozycję mężów: biznesmena, szeryfa czy pastora – spijają śmietankę z życia. Nie ma tu kalwińskiego umartwiania się – tak zalecanego biedocie – są (s)ekscesy, gruba forsa i czystej wody hedonizm, szczególne umiłowanie łamania szóstego przykazania, choć i przykazania „nie zabijaj” szczególnie pilnie też nie przestrzegają…

Świat amerykańskiego Południa dziwnie przypomina realia polskiego Wschodu. Religijne odjazdy rzucające się cieniem na życiu zwykłych ludzi (zwłaszcza kobiet), obsesja antyaborcyjna, posunięta do skrajności hipokryzja, alkohol lejący się strumieniami, bezwzględna walka o władzę, przedmiotowe traktowanie wszystkich wokół, łącznie z tymi, z którymi łączą nas najbliższe więzi uczuciowe i/lub rodzinne. Dodajmy do tego duchownych włącznie z młodym pastorem – seksualnym degeneratem, którego podniecają opowieści parafianek o grzesznych uczynkach, zwłaszcza wtedy, gdy wiążą się z seksem przedmałżeńskim, pozamałżeńskim, że o aborcjach nie wspomnę.

Zagadka braku pedałujących kowbojów

Akcja „Klubu…” ogniskuje się wokół sprawy morderstwa na pobożnej i nieco naiwnej nastolatce, która – sama wywodząc się z nizin społecznych – bujała się z synem starszego i surowego pastora. Nie brak tu zwrotów akcji, próby budowania dość złożonych profilów psychologicznych. Sporo jest seksu, też lesbijskiego. I tu pojawia się pewien kłopot, jaki mam z serialem. Że kobieta uprawia seks z kobietą, to nic szczególnie gorszącego, nawet dla seksistów i homofobów. Dobrze się to ogląda, także osobom hetero. Ale czemu nie ma tu pedałujących mężczyzn? Przecież na prerii kowboj z innymi kowbojami się zabawiał nie raz –

te wszystkie hipermęskie postawy często są podszyte homoseksualizmem, tak w miasteczkach teksańskich, jak i lubelskich… Brak tego wątku trochę mi zalatuje zaspokajaniem gustów burżuja, co gejów nie znosi, ale na lesbijki to lubi sobie często popatrzeć.

Odczytuję serial na kilku podstawowych płaszczyznach. Po pierwsze, to opowieść typu niewinna – do czasu! – dziewczyna zostaje wciągnięta w wir świata salonowego, który ją demoralizuje. Choć tu jest ciekawe odwrócenie – tym siedliskiem zła jest małe miasto na zadupiu, a nie metropolia. To jakby cnotliwa panna z Wrocławia udała się do zepsutych do szpiku kości Koluszek.

Po drugie, to historia kobiet ze śmietanki towarzyskiej, które są zmuszone realizować swoje interesy i pragnienia w patriarchalnym grajdołku, co zmusza je do robienia moralnych salt i zakłamania jako naczelnej reguły postępowania. Kobiety walczą zębami i pazurami – choć po prawdzie częściej innymi częściami ciała – o należne im miejsce.

Po trzecie, „Klub…” unaocznia wewnętrzne sprzeczności konserwatywnej fali, jaka zalewa różne części świata – od USA przez Turcję i Rosję po Włochy czy Polskę. To świat generowany na potrzeby tworzenia pewnego oczekiwanego wizerunku, przysłaniającego rzeczywistość, wyłażącą tu i ówdzie zza kurtyny wystudiowanego przedstawienia. To realia, w których łatwiej kogoś zabić, aniżeli dopuścić do ujawnienia zdrady małżeńskiej i skrobanki.

Co z tą Polską?

Mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że na całej ścianie wschodniej naszego kraju oglądano by z zapartym tchem losy bohaterek serialu, który toczyłby się np. w fikcyjnym miasteczku wschodniego Podkarpacia, nazwijmy je Wygwizdowem. Oczywiście nie sposób przełożyć jeden do jednego amerykańskich światów na rodzimą przaśną swojskość.

Ale mam zarys scenariusza. 30-letnia Agnieszka, żona Leszka i matka Antosi, przenosi się z Warszawy do Wygwizdowa, gdzie jej mąż znalazł pracę w prężnie rozwijającym się zakładzie mięsnym należącym do lokalnego bonza Waldemara, którego zięć jest burmistrzem, a brat proboszczem. Agnieszka wdaje się w ognisty romans z żoną Waldemara, zainicjowany w spiżarni pełnej salcesonu, kaszanki i mortadeli. W tym czasie Leszek i proboszcz, rozochoceni wspólnym oglądaniem rodeo, oddają swe ciała lubieżnym gejowskim zabawom. W niedzielę całe miasteczko spotyka się w kościele, a proboszcz rozgrzesza wszystkich, wszak człowiek jest istotą słabą, a Szatan namawia go do grzechu.

Myślę, że ten temat podrzucę Barbarze Białowąs, która zasłynęła reżyserią znanego hitu Netflixa, „365 dni”. Ona wyciągnie zeń wszystko, co najbardziej widowiskowe…

K.K.

eprasa.pl 769dc3e8be

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Jako pracownicy Wydziału Duszpasterstwa Rodzin, absolwenci i słuchacze Studium Teologii Rodziny, wciąż musimy uczyć się słuchania Boga, także na temat małżeństwa i życia rodzinnego.* ***Skoro małżeństwo sakramentalne i fenomen życia rodzinnego są Bożym pomysłem na realizację ludzkiej miłości, to nie wolno nam tych spraw widzieć ani rozstrzygać według ludzkich kryteriów.***

bp Piotr Greger, kuria diecezjalna w Bielsku-Białej, homilia, 11 stycznia

■ ***Jeżeli deklarujemy konstytucyjnie wdzięczność za całą kulturę (…), to jeżeli jakakolwiek władza próbuje depolonizować albo dechrystianizować edukację, no to prima facie, na pierwszy rzut oka, łamie konstytucję.*** *Artykuł piąty konstytucji, trzeci filar, jeżeli mowa o programie edukacji: „Rzeczpospolita strzeże dziedzictwa narodowego".* ***No jeżeli zatem jakakolwiek władza próbuje to dziedzictwo narodowe wycinać, rugować z edukacji, zastępować współczesnymi wytworami popkultury internacjonalnej albo antychrześcijańskiej, antynarodowej, no to z całą pewnością nie realizuje tego przykazu.***

mec. Jerzy Kwaśniewski, Ordo Iuris, Ogólnopolskie Forum Oświatowe, Warszawa, 10 stycznia

■ *W takim kraju, pełnym fałszywie pojętej tolerancji, dopuszczalne staje się to, aby nauczycielka w swoim kaprysie, powiem wprost, w swoim chamstwie zdejmowała krzyż i wrzucała go do kosza na oczach uczniów. (…)* ***Jeśli nie będzie nawrócenia, modlitwy i duchowej odwagi, nie będzie także lepszej Polski ani lepszej przyszłości w naszym kraju, który z dnia na dzień staje się republiką pustostanu – obszarem pustym dla Boga i Ewangelii oraz miejscem dramatycznie złych obyczajów.***

bp Jan Piotrowski, homilia, Włoszczowa, 9 stycznia

■ *Moralny szantaż to ulubiona broń zwolenników WOŚP, którzy w takich przypadkach bronią czci organizatora jak niepodległości. (…)* ***Z drugiej strony, podnosząc jednorazowy akt dobroczynności do rangi zbawienia świata, dezawuuje się ciche, konsekwentne dzieła charytatywne – w naszym kraju głównie katolickie – które do skutecznego działania nie potrzebują celebrytów, reklam w państwowych mediach czy poparcia samorządowców. Zasada „niech nie wie lewa ręka twoja, co czyni prawa" (Mt 6, 3) skutecznie broni bowiem przed postawą pychy i samouwielbienia, której festiwal będziemy mieli okazję podziwiać w najbliższym czasie.***

red. Piotr Relich, Polonia Christiana, PCh24.pl, 7 stycznia

■ *Przy chrystianofobicznym nastawieniu rządu Donalda Tuska i Ministerstwa Edukacji Narodowej zarządzanego przez Nowacką i panią Lubnauer, te chrystianofobiczne działania widać, że udzielają się również niektórym (…) indywidualnym nauczycielom i mieliśmy z taką właśnie rzeczą do czynienia w Kielnie. Rzecz niewyobrażalna, żeby nauczyciel wbrew woli dzieci i rodziców wyrzucał krzyż do kosza (…).* ***Bez względu na to, jaki to był krzyż, bez względu na to, gdzie wisiał, profanacja tego symbolu religijnego jest efektem chrystianofobii obecnego rządu i Ministerstwa Edukacji Narodowej. Z tym trzeba skończyć.***

Przemysław Czarnek, TV Trwam, 16 stycznia

■ *W ciągu osiemnastu lat obserwowaliśmy przecież bardziej czy mniej subtelne próby odrywania Polaków od źródeł tożsamości narodowej.* ***Za szczególnie groźne postrzegamy uporczywe próby programowego laicyzowania młodego pokolenia Polaków, wychowywania ich w duchu obcych nam standardów moralnych, ograniczania lekcji religii i usuwania krzyży z sal szkolnych (…). Są to także złowrogie próby deprecjonowania bohaterów narodowych, dość wspomnieć w tym miejscu precyzyjnie aranżowane próby deprecjonowania dokonań św. Jana Pawła Wielkiego czy Żołnierzy Wyklętych. Pomimo tych wszystkich przeciwności, dzisiaj podczas 18 Patriotycznej Pielgrzymki Kibiców z głębi naszych serc śpiewamy „Ciebie Boga wysławiamy", bo wciąż jeszcze ostatecznie jesteśmy dumnym chrześcijańskim narodem, który w chwilach zagrożenia potrafi się zjednoczyć.***

ks. Jarosław Wąsowicz, homilia, Jasna Góra, 10 stycznia

KLECHA

Rys. WIDGET

Śluby? Nieważne

Czy Jacek Kurski jest chory psychicznie?

Rozwód kościelny, uparcie nazywany przez kler „stwierdzeniem nieważności małżeństwa", wkracza do mainstreamu. Jeśli za barometr zainteresowań i bolączek Polaków brać programy red. Grzegorza Jankowskiego w Polsacie, to rozwiązanie ślubu kościelnego jest gorącym tematem tej zimy.

Jankowski był niegdyś redaktorem naczelnym „Faktu", więc wie, co ludzi ziębi, a co grzeje. Rozwody kościelne mają branie. Popularność temu zjawisku zapewnili prawicowi politycy i pobożni na pokaz celebryci, dla których demonstrowanie wiary jest elementem wizerunku i filarem kariery.

Uczeni w prawie

To, że stwierdzenie nieważności małżeństwa jest na fali, potwierdza także fakt, że mnożą się kancelarie prawne pomagające w tym procederze. Tam, gdzie pieniądze, tam też prawnicy. W sieci roi się od poradników, jak taką akcję przeprowadzić – a poradniki te są zazwyczaj mniej lub bardziej zawoalowaną reklamą kancelarii. Wprawdzie całość odbywa się w kościelnych urzędach, ale prawo kanoniczne ogarniają też niesutannowi mecenasi. W przypadku rozwodu kościelnego trzeba wykonać kilka fikołków prawnych i logicznych, żeby wszystko było po bożemu, a przynajmniej po kościelnemu. Powstała nisza szybko się zapełnia specjalistami od zrywania niby nierozerwalnego sakramentu.

Oprócz biegłości w prawie nie zaszkodzą też dobre relacje z kurią. W końcu niezależny sąd kościelny nie jest zależny od żadnych instytucji państwowych. Tylko od woli biskupa i jego urzędników zależy interpretacja przepisów oraz badanie wyroków boskich. Co Bóg złączył, sąd biskupi rozłączy.

Do polsatowskiego programu nt. stwierdzenia nieważności małżeństwa zaproszono księdza i seksuolożkę, biegłą w sądzie biskupim. Dominikanin Stanisław Tasiemski, prezes Katolickiej Agencji Informacyjnej, ze z trudem utrzymywaną powagą bronił kościelnej doktryny o nierozerwalności małżeństwa i konsekwentnie zaprzeczał istnieniu rozwodów kościelnych. Konfrontowany przez red. Jankowskiego z rzeczywistością, w której sami księża polecają udanie się do kurii i załatwienie unieważnienia związku, ojczulek motał się, bo teologiczne mrzonki nijak mają się do rzeczywistości, a ich obrona to misja samobójcza. Wszyscy wiedzą, jak jest: wystarczy dobrze posmarować i można z czystą kartą stawać przed ołtarzem po raz wtóry. O. Tasiemski wił się jak piskorz, broniąc swojej firmy, ale prowadzący program nie dawał za wygraną, stawiając Kościół kat. w świetle współczesności, która wymaga nieustannej zmiany wszystkiego – także małżonków – na nowsze modele. Żeby nadążyć za światem i choć garstkę ludzi zatrzymać przy sobie, kler ulega presji i zaklina rzeczywistość stwierdzeniem nieważności małżeństwa. Nie za darmo oczywiście.

Naturalnie księża powiedzą, że nie o żadne pieniądze tu chodzi, zaś procedura jest uczciwa i bardzo skrupulatna – przez sito biskupiego trybunału przelecą tylko poważne przypadki. Teoria swoje, praktyka swoje – rosnąca liczba kościelnych rozwodów oznacza, że albo to sito jest dziurawe, albo jesteśmy społeczeństwem ludzi niedojrzałych, uzależnionych, chorych lub co najmniej nieogarniętych.

Nie pisze się w rejestr

Cała bowiem logika rozwodu kościelnego opiera się na zasadzie, że w momencie ceremonii występowały tak poważne przeszkody, że ślub nigdy nie zaistniał. We wspomnianym programie ojczulek przytomnie stwierdził, że jest to zatem praca właściwie archeologiczna, bo trzeba się dokopać i odtworzyć sytuację nieraz sprzed kilkudziesięciu lat.

Przeszkody są ściśle wyliczone, nie ma miejsca na improwizację. Oprócz oczywistych – jak wiek czy pokrewieństwo – istnieją też bardziej umowne, jak niezdolność powodowana chorobą, nałogami, czy wreszcie niedojrzałością psychiczną, pod którą można podciągnąć każdego. W praktyce

> **„niezdolność psychiczna do podjęcia obowiązków" króluje w rankingu podstaw do stwierdzenia nieważności sakramentu. Bo przecież – jak rozumował Adaś Miauczyński w „Dniu świra" – „co za ponury absurd, żeby o życiu decydować za młodu, kiedy jest się kretynem?".**

Oczywiście nikt nie chwali się powodami, dla których stwierdzono nieważność małżeństwa, ale już na pierwszy rzut oka coś tu nie gra. Zazwyczaj kościelny rozwód jest przepustką do kolejnego ślubu. Czy też – jak wolą to określać katolicy – pierwszego, bo tamtego wcale nie było. Tak twierdzi np. Jacek Kurski, jeden z najbardziej znanych rozwodników.

Skoro zaś sąd biskupi stwierdzą, że kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu jeden z małżonków wykazywał poważne deficyty – to znaczy że przez ten czas nadrobił i teraz jest już gotowy do żeniaczki? Przed ślubem z kolei są tzw. nauki przedmałżeńskie, a ksiądz ma obowiązek przebadać przyszłą parę młodą, m.in. na okoliczność gotowości do związku. W ślubach konkordatowych ksiądz występuje przecież także w roli urzędnika i przekazuje odpowiednie papiery do urzędu stanu cywilnego.

Jak podawała „GW", w uzasadnieniu stwierdzenia nieważności pierwszego małżeństwa Kurskiego napisano, że „ze względu na wykazaną niezdolność do podjęcia istotnych obowiązków małżeńskich z przyczyn natury psychicznej, zakazuje się dopuszczenia do zawierania przez powoda Jacka Olgierda Kurskiego nowego małżeństwa". Ale nie takie przeszkody można pokonać, gdy jest się prezesem TVP i ma się znajomych biskupów. Zakaz uchylono, a Kurski jest szczęśliwym żonkosiem. Tak jak w przypadku aborcji, rozwód kościelny jest dobrem, na które mogą sobie pozwolić osoby odpowiednio majętne. Dla biedoty są bajki o nierozerwalności małżeństwa i nieprzerywalności ciąży.

Windą do piekła

Rosnąca liczba rozwodów kościelnych pokazuje, że polscy księża to banda partaczy nieznająca się na swoim fachu. Bo przecież nie jest tak, że kler nie traktuje sakramentów poważnie, prawda?

O tym, że małżeństwo jest pod szczególną opieką Kościoła kat., niech świadczy choćby zarządzenie biskupa włocławskiego z 2016 r. o tym, jaka muzyka może towarzyszyć ceremonii ślubnej w świątyni. Ponieważ ludzie się nie słuchają, kuria przypomniała w 2026 r., że pozostaje ono w mocy, a indeks piosenek zakazanych został zaktualizowany. „Zarządzenie wymienia też wprost kilka utworów świeckich, których nie wolno wykonywać podczas liturgii, także ze zmienionym tekstem. Do tej listy należy dopisać nowy »przebój« ślubny napisany do piosenki Eda Sheerana »Perfect«" – przestrzega ks. Marcin Ziółkowski z Diecezjalnej Komisji ds. Muzyki Kościelnej. Prędzej Kurski trzeci raz stanie przed ołtarzem, niż w kościele wybrzmi Ed Sheeran.

Ilustr. KROKODYL

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Krucyfiks w miednicy

Krzyża nie można do kosza, ale można w gacie

Ledwo zdążyliśmy się otrząsnąć z jednej afery krzyżowej, a tu na horyzoncie kolejna. Tym razem nie uświadczymy Bąkiewicza protestującego w obronie krzyża, nie widać wzmożonych moralnie polityków, biskupi nie ślą patetycznych listów. Krucyfiks bowiem został użyty przez fachowca, który z racji wykonywanego zawodu nie może być podejrzany o bluźnierstwo. Monopol na obrażanie uczuć religijnych mają lewacy.

Ksiądz Teodor Sawielewicz to bardzo popularny w sieci duchowny, prowadzi na YouTubie kanał Teobańkologia, gdzie transmituje modlitwy i wygłasza pogadanki. Ogląda go mnóstwo ludzi; część z nich widzi w nim autorytet, do którego można się zwrócić w razie problemów. Jedną z takich osób jest kobieta obdarzona przez redakcję „GW" imieniem Anna. Zgłosiła się ona do wrocławskiej kurii ze skargą na pracownika tej archidiecezji.

> **„Ksiądz Teodor Sawielewicz zadawał mi bardzo szczegółowe pytania dotyczące moich zmagań, szczególnie związanych z grzechem przeciwko VI przykazaniu Dekalogu"**

– napisała w liście do kurii. „W zaufaniu zgadzałam się na to, choć wydawało mi się to bardzo dziwne i przekraczało moje granice intymności"… Reporterce dopowiedziała zaś: „Mówił mi, że jestem dręczona przez złego ducha. Nalegał, żebym przyłożyła krzyż w miejsce intymne. Potem pytał, czy miałam spełnienie".

Egzorcyści są bardziej kreatywni w zwalczaniu diabła niż sam szatan w kuszeniu ludzi. Ks. Sawielewicz – o ile zarzuty się potwierdzą – dołączy do tak wybitnych wypędzaczy biesów jak ks. „Salceson" czy ks. Maciej Gutmajer, egzorcyzmujący skarpetą JP2. Wrocławska kuria jest póki co wstrzemięźliwa, przynajmniej oficjalnie. Prywatnie Anna dostała pismo, w którym napisano: „Wobec przedstawionych faktów, po wysłuchaniu wyjaśnień ks. Teodora Sawielewicza, podjęto decyzję o nałożeniu na niego następujących środków karnych: upomnienie pisemne, zakaz kontaktów z Panią, zakaz (do odwołania) prowadzenia kierownictwa duchowego na wszelkich platformach internetowych. Ponadto, jako zadośćuczynienie za krzywdzące zachowanie, ks. Sawielewicz został zobowiązany do wpłacenia kwoty 10 tys. zł na cele charytatywne". List podpisał kanclerz kurii, a więc szef urzędu, nie jakiś anonim.

Mimo rzekomych kar ksiądz Teodor nadal pojawia się na YouTubie i modli się, ale w sposób tradycyjny i niewymagający ściągania ubrań. Jedyny oficjalny krok to taki, że jakiś czas temu abepe Józef Kupny zlecił audyt fundacji założonej przez podwładnego. Rzecznik kurii powiedział tylko, że na razie żadnych nowych oświadczeń nie będzie, a jak ktoś się chce podzielić swoją historią z ks. Sawielewiczem w tle, to niech do nich napisze. Brak reakcji metropolity wrocławskiego zirytował nieco Annę, która liczyła na bardziej stanowcze rozwiązanie. Komisja może sobie działać i kilka lat, a tymczasem duchowny dalej bryka po sieci w poszukiwaniu diabła między niewiastami. Poszła więc do mediów, aby we własnym zakresie nagłośnić sprawę.

Kobieta zarzucająca Sawielewiczowi zachowania niemoralne ma na potwierdzenie swoich słów korespondencję z duchownym. Ale nawet początkujący egzorcysta wie, do czego zdolne są złe duchy. Byli już księża, którzy dostawali SMS-y od szatana – w razie potrzeby linia obrony dla ks. Teodora jak znalazł. A poważniej, to kolejny już ksiądz celebryta, który wypędza diabła, a sam ma niejednego za skórą. To już prawie nikogo nie dziwi. Zdziwienie może budzić tylko fakt, że wciąż znajdują klientów na swoje szemrane usługi.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 769dc3e8be

Żywot dziennikarza sportowego

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Skoro Andrzej Duda mógł napisać o sobie dzieło zatytułowane „To ja" – to ja też mogę. Moje jest krótsze, chociaż żyję dłużej.

Pamiętacie, jak premier Morawiecki recytował „fraszkę Kochanowskiego": „Szlachetne zdrowie, prawda, ile cię trzeba cenić czy jak, jako smakujesz, aż się zepsujesz, prawda"… Tekst stał się zasłużenie viralem – ale zdrowie faktycznie trzeba cenić. Piszę to w przeddzień pójścia do szpitala. To jedna z tych chwil, kiedy człowiekowi się zbiera na wspomnienia.

Gnojną w górę, Gnojną w dół…

Stroma, brukowana ulica Bednarska na warszawskim Mariensztacie. Do szkoły idzie w dół chłopiec z dobrego domu. Schludnie ubrany, czysty, wykąpany, włosy umyte w jajku, co było wówczas uważane za najwyższą formę dbałości o ich higienę, bo szamponów w ówczesnym PRL jeszcze nie sprzedawano. W tornistrze chłopiec niesie drugie śniadanie: dwie bułki z szynką i liściem sałaty. Dalece nie wszystkie dzieci w powojennej Warszawie jadały tak dobrze jak syn znanego lekarza. O tym chłopiec jednak nie myślał. Prawdopodobnie niewielu ludzi dziś wie, jak biednie żyło się w niemal doszczętnie zrujnowanej stolicy Polski.

Tym chłopcem byłem ja. Nie miałem jeszcze pojęcia, że zostanę dziennikarzem, ale zadatki na redaktora miałem.

Do czwartej klasy podstawówki nie musiałem już chodzić stromą ulicą Bednarską, bo rodzice się przeprowadzili. Nawiasem mówiąc, Bednarska to ta słynna ulica Gnojna z piosenki warszawskiego barda Stanisława Grzesiuka; na prośbę mieszkańców zmieniono później jej nazwę. Ulica była gnojna, bo beczkami wywożono nią nieczystości z „górnej" Warszawy i wylewano do Wisły.

Doskonale pamiętam tamtą Wisłę. Kąpałem się w niej, a obok pływały gówienka. Zimą rzeka zamarzała tak, że ludzie przechodzili po lodzie na drugi brzeg. Teraz narzekają, jak trochę przymrozi i spadnie śnieg… Latem po wodzie sunęły tratwy zbite z pni drzew. Flisacy, którzy spali na tratwach w prymitywnych namiotach, a jedzenie gotowali w kociołkach na ogniskach, z biegiem rzeki płynęli do Gdańska, gdzie drewno ładowano na morskie statki i wysyłano w świat. Flisacy zatrzymywali się przy brzegu, szli do restauracji Flis na rogu (o ile dobrze pamiętam) Bednarskiej i Browarnej, gdzie upijali się i zaczepiali ludzi. Dzieci zamykano w tym czasie w domach.

We Flisie podawano słynne flaczki po warszawsku, których fantastyczny smak poznałem dopiero wówczas, gdy Flis przeniósł się, podobnie jak ja, z Powiśla do Śródmieścia. W życiu jadłem najróżniejsze przysmaki w najróżniejszych krajach. Jako naczelny „Sukcesu" brałem nawet udział w odtworzonej z najdrobniejszymi szczegółami dziewiętnastowiecznej uczcie w pałacu pierwszego króla Włoch Wiktora Emmanuela w Turynie. Główne danie przykryte było płatkami autentycznego złota, które wcinało się razem z pieczystym. Ale gdzie tym frykasom do flaczków z Flisa podawanych ze świeżą kajzerką i kuflem piwa?

W służbie Ylonii

Do nowej szkoły nie musiałem chodzić ani w dół, ani w górę ulicy, bo widziałem ją z okna. Nasz nowiutki dom przy ul. Marszałkowskiej nie pasował do parterowego centrum Warszawy, był jak gdyby nie na swoim miejscu. Jedno z okien pokoju, w którym mieszkaliśmy z bratem, wychodziło na w połowie zburzony neogotycki budynek, w którym mieszkał mój najlepszy szkolny przyjaciel Jacek Reszetko, późniejszy słynny warszawski playboy i właściciel klubów rozrywkowych, a w czasach szkolnych król Ylonii.

Królestwo Ylonii Reszetko wymyślił sam. Należeli do niego najbardziej zaufani koledzy i koleżanki z klasy czwartej, można rzec: klasowa elita. Królem był oczywiście sam Jacek, ministrami Bogdan Smyczyński, Andrzej Tworzyński i ja. Były posiedzenia Rady Królewskiej i jeszcze czymś tam się zajmowaliśmy, nie pamiętam już czym. Ylonia miała swoją walutę, która nazywała się yakr. Za yakry można było sprzedawać i kupować lizaki, cukierki, gumy do żucia (używane i nowe). Ja zacząłem wydawać oficjalny organ Ylonii, zatytułowany „Życie Klasy".

Ponieważ w naszym mieszkaniu, jak w każdym przyzwoitym mieszkaniu inteligenckim, była maszyna do pisania, nauczyłem się stukać w klawisze. Przez kalkę w czterech egzemplarzach wydawałem gazetę i sprzedawałem ją w cenie 1 yakra za egzemplarz. Musiała cieszyć się powodzeniem, bo szybko stałem się jednym z najbogatszych obywateli Ylonii. Po raz pierwszy i ostatni w życiu byłem oligarchą.

Ylonia wkrótce przestała istnieć, bo dowiedziała się o niej wychowawczyni. Doszła do wniosku, że z pedagogicznego punktu widzenia trafniej będzie nie zakazywać jej, ale objąć nad nią – i siłą rzeczy nad jej organem – kontrolę. Wcale nie uśmiechało mi się pisanie przez kalkę gazety, której pierwszą czytelniczką, i zapewne cenzorką, miałaby być wychowawczyni.

Królestwo nie miało prawa przetrwać, a ja zostałem z piórnikiem wypełnionym papierkami z napisem „1 yakr", pieczątką z kartofla i królewskim podpisem. Mój majątek w jednej chwili przepadł. Na dobrą sprawę każdy banknot, który trzymacie w portfelu, jest wart tyle, ile wydrukowany na nim papier; reszta jest umową.

Od „Widliszka" do „Przeglądu Sportowego"

W IX Liceum Ogólnokształcącym im. Klementyny Hoffmanowej wydawałem „Widliszka". To już była poważniejsza sprawa. Gazetkę pisałem w jednym egzemplarzu, oczywiście podczas lekcji. Numery ukazywały się co tydzień, a jeśli któryś trochę się spóźniał, moi czytelnicy – a było ich naprawdę wielu – podnosili rwetes. Nie uwierzycie, ale jeśli dzisiaj spotykam kogoś z mojej szkoły, przeważnie wspomina „Widliszka".

„Widliszek" udawał normalną gazetę, nawet tytułowa czcionka z szeryfami ściągnięta była z bardzo popularnej wówczas gazety „Życie Warszawy". Artykuły także udawały gazetowe, ale ich treść była absurdalna, co zgadzało się z bardzo modnym wówczas – a dziś prawie zapomnianym – humorem abstrakcyjnym.

W ogólniaku byłem redaktorem, a jednocześnie uprawiałem sport; w wielkim uproszczeniu można powiedzieć, że już byłem dziennikarzem sportowym, tyle że oba czynniki występowały osobno. Trenując piłkę ręczną, nie pisałem o niej, natomiast od czasu do czasu puszczałem z rąk do rąk „Gońca Górnolotnego" – gazetkę o literackich ambicjach.

Jak udawało mi się łączyć te aktywności z rozbudowanym życiem towarzyskim, wyjaśnić łatwo. Odbywało się to kosztem nauki. Jeśli dostałem z jakiegoś przedmiotu (nie licząc polskiego, gdzie byłem prymusem) trójkę, już świętowałem, a rodzice wynagradzali mnie nawet drobną kwotą. Poważnie: za trójkę!

Studia na Uniwersytecie Warszawskim mnie pochłonęły, gazetek nie wydawałem, za to rektor dwukrotnie nagrodził mnie swoją nagrodą za pilność. Jednocześnie zrezygnowałem z gry w piłkę ręczną. Nie, nie złożyłem kariery sportowej na ołtarzu nauki. Po prostu przestała mi się ta gra podobać, nie miałem do niej talentu, a trener wkurzał, zwłaszcza gdy znienacka rzucał we mnie twardą piłką i tłumaczył, że zawsze trzeba się koncentrować, a mięśnie powinny być napięte.

O tym, jak trafiłem do „Przeglądu Sportowego", już w tym miejscu pisałem. Najpierw byłem wolontariuszem (choć w tamtych czasach tego słowa chyba nie znano), jeździłem po warszawskich arenach sportowych i przywoziłem rezultaty meczów, bo na telefony nie było co liczyć, a wynik musiał ukazać się na łamach.

Na ostatnim roku studiów zaproponowano mi staż w dziale informacji; teraz ja, siedząc za biurkiem w redakcji i chełpiąc się tytułem redaktora, zbierałem wyniki od wolontariuszy. Po pół roku, po specjalnej naradzie kolegium redakcyjnego, zaproponowano mi etat. W ten sposób poznałem smak zawodu, narkotyczny zapach farby drukarskiej, tajniki poligrafii i redagowania gazety. Poznałem też przydzielonego mi wspaniałego mentora Lecha Cergowskiego. Wszystko to bardzo mi się w przyszłości przydało i tylko żal, że Lech Cergowski nie mógł tego zobaczyć, bo zmarł na zawał w grudniu 1986 r. podczas odśnieżania samochodu.

Sukcesy, Urbany, doktory…

Jeszcze na dobre nie upadł poprzedni ustrój, podczas którego pracowałem w „Przeglądzie", następnie działach sportowych „Trybuny Ludu" i „Sztandaru Młodych", gdy postanowiłem robić coś nowego. Wymyśliłem miesięcznik „Sukces", przy pomocy zamożnych kolegów zza granicy zacząłem go wydawać i był to prawdziwy sukces rynkowy. Gazeta zarobiła od pierwszego numeru (robiłem go we własnej kuchni), co udało mi się jeszcze kilkukrotnie powtórzyć w różnych wydawnictwach.

Zdradziłem mój zawód, nie byłem już dziennikarzem sportowym, stałem się z zawodu redaktorem naczelnym najróżniejszych pism. Gdy pracowałem w miesięczniku „Art & Business", poznałem uroczą i sporo ode mnie młodszą Rosjankę Swietłanę, która pisywała dla nas znakomite materiały. Od słowa do słowa, postanowiliśmy iść dalej razem przez życie, niedługo obchodzić będziemy porcelanowe gody (20. rocznica ślubu, gdyby ktoś nie wiedział, co to znaczy).

Zamieszkaliśmy w Petersburgu i były to moje bardzo szczęśliwe lata w tym przepięknym mieście. Pisywałem stamtąd korespondencje do różnych lewicowych gazet, także do „NIE". Do Polski wpadałem co jakiś czas przedłużyć wizę i – niestety – coraz częściej odwiedzić gabinety lekarskie.

Z Małgosią Daniszewską, żoną Jerzego Urbana, znaliśmy się jeszcze ze studiów (jej prawniczych, moich polonistycznych). Zapraszali mnie na obiadki, gdy byłem dłużej w kraju.

Udało mi się śmiertelnego wroga sportu, jakim był Urban, namówić do wprowadzenia tej tematyki do redagowanej przez niego gazety. W ten sposób wróciłem do pierwszego zawodu i męczę Czytelników moimi tekstami

od wielu (sam już nie wiem ilu) lat.

Teraz oboje ze Swietłaną mieszkamy w Polsce. Niestety, moja neurologiczna choroba nóg robi postępy szybsze, niż większość ekstraklasowych piłkarzy biega po boisku. Nawet z siłowni, do której regularnie uczęszczałem, musiałem zrezygnować, czeka mnie za to pobyt w szpitalu.

Patrzę na sportowców już tylko w telewizorze i myślę, że oni, narzekając na męczące treningi, nie zdają sobie sprawy, jaką przyjemnością jest swobodne poruszanie się, bez kul i balkonika.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 21.01.2026 r.

eprasa.pl 769dc3e8be

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Jak nazywa się dyscyplina sportu, do której uprawiania potrzebna jest wazelina oraz dupa Trumpa? Zawodnicy nie potrzebują mydła, noszą śmieszne czerwone czapeczki, często skandują – bywa, że w sejmie – nazwisko posiadacza dupy oraz unikają takich określeń jak Pomarańczowy Dureń czy Kutas z Mar-a-Lago.

Dobry w te klocki jest Nawrocki. Przed wyborami na prezydenta Polski zrobił sobie z prezydentem USA focię, a po wyborach giął karczycho podczas poddańczej wizyty w Białym Domu.

Z Nawrockim przegrywa Tusk, ale zaledwie o włos. Można było przypuszczać, że wycofa się z zawodów, ale nie – wciąż trzyma w garści tubkę wazeliny i spogląda na Trumpowy odbyt. Krzywi się wprawdzie z odrazą, otrząsa ze wstrętem, ale nie robi zwrotu w tył i z gry nie rezygnuje. Po amerykańskim szantażu celnym niektórzy europejscy przywódcy przestali udawać i Trumpowi kazali się pocałować w dupę. Premierzy – Szwecji Ulf Kristersson i Norwegii Jonas Gahr Støre – zaproponowali prezydentowi USA wypchanie się, a premier Włoch Giorgia Meloni dała mu do zrozumienia, że z konia spadł na swój durny łeb.

Ale nie premier Polski Donald Tusk. On ciągle kluczy, lawiruje, nie nazywa rzeczy po imieniu. A przecież honor czy elementarna przyzwoitość wymaga, żeby powiedzieć Trumpowi, że jest bezmózgim chamidłem.

Mędrcy i koniunkturaliści tłumaczą Tuska, że nie ma innego wyjścia i nie może wypuszczać z ręki wazeliny, bo Ameryka to nasz największy sojusznik, bez którego świat się skończy. Taki chuj jak słonia nos – jak mówią zoolodzy. Kutas z Mar-a-Lago na takich lojalnych aliantów pluje i olewa ich ciepłą słomkową strugą. Patrz: Dania.

Gdyby wszyscy powiedzieli prezydentowi USA to, co o nim myślą, to może w końcu dotarłoby do jego kurzego móżdżku, że w mistrzostwach włażenia mu w dupę na czas pozostały już tylko takie wałachy jak Hegseth czy Vance. A także Nawrocki z Przydaczem, Cenckiewiczem i kto się tam jeszcze przy nim kołysze…

Twarz ma się jedną. Lepiej dać się uprowadzić (jak Nicolás Maduro) niż się płaszczyć i na kolanach oddawać Nobla (jak María Corina Machado).

Lepiej być Grenlandią niż Polską.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN szykuje się na finał WOŚP w Poznaniu i zaraz potem na urlop. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** marzy o nartach, ale nie ma energii do zrealizowania marzenia.

Senyszyn: – Z dobrych wiadomości: Kancelaria Prezydenta nie ma miliarda dolarów na wpisowe do Rady Pokoju, więc Nawrocki nie będzie kompromitował Polski udziałem w nowej zabawce Trumpa.

Wołk-Łaniewska: – Nie chcę gasić twojego optymizmu, ale w tej ofercie są trzy lata za zero złotych. Czy też dolarów.

– Ale pewnie trzeba podać dane karty kredytowej, żeby się zarejestrować. Własnej Nawrocki nie poda, a państwowej Domański mu nie pożyczy, więc jest okej.

– O tym nie pomyślałam. I na pewno po zakończeniu darmowego okresu próbnego abonament za następny okres rozliczeniowy jest pobierany automatycznie. A tak swoją drogą, czy było powiedziane, ta duża bańka papieru – to na ile starcza?

– Chyba nie, ale za to było powiedziane, że jest to cena promocyjna, tylko w pierwszym roku rady. Potem będzie drożej.

– To dość logiczne, zważywszy, że za trzy lata Trump już nie będzie prezydentem, więc może mieć utrudniony dostęp do konta. Co prawda gdzieś słyszałam, że on się mianował dożywotnim przewodniczącym tej rady, ale chętnych do płacenia dużej bańki byłemu prezydentowi USA może zabraknąć. Zmieniając temat: wiesz, co jest w sobotę?

– Sobota.

– A poza tym?

– Zaskocz mnie.

– 88. urodziny Władimira Wysockiego. To znaczy byłyby, gdyby w 1980 r. Marina Vlady nie kazała mu się zaszyć. Po raz kolejny.

– Rozumiem, że uważasz, że to wszystko żony wina?

– Mało żony: francuskiej żony. Oczywiście. Choć inna wersja jest taka, że umarł nie od esperalu, tylko od szampana, którego pił w ostatnich tygodniach. Co też oczywiście byłoby winą Mariny – jakiż rosyjski poeta wpadłby na to, żeby pić szampana, gdyby nie miał francuskiej żony? No ale dobrze, przyznam to: z Mariną czy bez, prawdopodobieństwo, że dożyłby nieomal do dziewięćdziesiątki, było raczej znikome, zważywszy, że umarł dwa razy. Pierwszy raz w lipcu 1979 w Bucharze. Byłaś kiedyś w Bucharze?

– Będąc młodą doktorką, czyli za czasów ZSRR, zwiedziłam z Almaturem większość republik. Byłam nie tylko w Bucharze, ale też w Samarkandzie, chodziłam po pustyni Kara-kum i wokół Bajkału, zwiedziłam Tbilisi, Erywań, Irkuck, Brack, oczywiście także Moskwę, Leningrad, Odessę, Kijów…

– Czy popełnię polityczne samobójstwo, jak powiem, że tęskno mi za Moskwą?

– Ja tam bym raczej nie mówiła, ale tobie to już chyba nic nie zaszkodzi.

– W każdym razie, wracając do poprzedniego tematu: strasznie chcę pojechać do Buchary. Nie tylko z powodu Wysockiego, którego ubóstwiam, a który tam wszak – jak na bóstwo przystało – zmartwychwstał, ale także z powodu Hodży Nasreddina.

– A to kto?

– Bohater książki mojego dzieciństwa. Byłam za młodu zindoktrynowana przez radziecką literaturę i do dziś mi tak zostało. Hodża Nasreddin to taki bomż, tyle że z XIII wieku…

– Chyba musisz wytłumaczyć Czytelnikom, co to jest bomż.

– Jestem pewna, że Czytelnicy „NIE" to wiedzą, ale z przyjemnością, zawszeć to okazja, żeby coś napisać w niecenzuralnym języku. Bomż oznacza osobę „без определённого места жительства" – czyli bez stałego miejsca zamieszkania – ale niekoniecznie bezdomnego. Hodża był wędrownym mędrcem, w książce zwanym „mąciwodą i wichrzycielem" – i jak przystało na bohatera radzieckiej literatury młodzieżowej, zwalczał religianctwo, bogaczy i głupich władców, ze szczególnymi uwzględnieniem emira Buchary, skąd pochodził. Swoją drogą, średniowieczni twórcy legend o Nasreddinie – a już na pewno Sołowiow, który 80 lat temu zaadaptował je na potrzeby radzieckiej młodzieży – przewidzieli Donalda Trumpa. Toczka w toczkę.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Opowiadaj.

– Jest tam na przykład „dzień sławienia", w którym wezyrowie, wielmoże, mędrcy i poeci współzawodniczą przed obliczem emira w sławieniu jego cnót. Ale emir nie jest zadowolony: „Zupełnie to samo mówiliście nam zeszłym razem. Uważamy, że nie dość jesteście gorliwi w wyrażaniu zachwytu"…

– Trump jest równie, a może i bardziej rozbestwiony, bo przydupasy robią mu „dzień sławienia" przy okazji każdego posiedzenia rządu. Jeśli jest transmitowane przez media, sekretarze poszczególnych departamentów wychwalają Trumpa pod niebiosa i dziękują za wszystko, co robi dla Ameryki. Ale nie tylko chwalą. Żeby się podlizać pomarańczowemu, zlikwidowano bezpłatny wstęp do parków narodowych w trzeci poniedziałek stycznia, czyli Dzień Martina Luthera Kinga, i 19 czerwca, w rocznicę wyzwolenia niewolników po zakończeniu wojny secesyjnej.

– Bo zarówno wyzwolenie niewolników, jak i wichrzycielstwo i mąciwodzenie Kinga przyczyniły się do tego, że teraz trzeba Czynić Amerykę Znowu Wielką. Ale bądźmy sprawiedliwe: w zamian zrobiono wolny wstęp w dniu urodzin Trumpa, 14 czerwca.

– Pomarańczowy – wzorem wielu ssaków i Kościoła kat. – oznacza teren, ale nie moczem ani krzyżami, a swoim nazwiskiem. Może nie wiesz, ale słynne waszyngtońskie Centrum Sztuki imienia Johna F. Kennedy'ego teraz nazywa się już The Donald J. Trump and The John F. Kennedy Memorial Center. Żeby tego dokonać, Trump mianował siebie prezesem Centrum i powołał nową radę nadzorczą, w której ulokował swoich krewnych i znajomych. A w Kongresie już czeka na przegłosowanie projekt ustawy o przemianowaniu Washington Dulles International Airport na Donald J. Trump International Airport.

– Emir Buchary też by tak zrobił, choć nie zawracałby sobie głowy mianowaniem nowej rady, po prostu ściąłby starą. I podobieństwa na tym się nie kończą. Emir zadawał też sługom bardzo trumpowskie pytania. Na przykład: „Czemu władcy ościennych krajów dotąd nie przysłali do nas swych posłów z bogatymi darami i zapewnieniami o swojej całkowitej wobec nas uległości?"…

– I co? Obkładał ich dwustuprocentowym cłem?

– Ale tylko na szampana, bo emir Buchary, podobnie jak emir Ameryki, był niepijący. Z tym że w przypadku tego pierwszego było to o tyle uzasadnione, że to są legendy muzułmańskie. Trump nie ma nic na swoje usprawiedliwienie. Może gdyby pił, świat byłby dziś w mniejszym niebezpieczeństwie.

– Kochana, nie promuj picia alkoholu. Akurat wielu radzieckich przywódców piło na umór i nic dobrego z tego nie wynikało. W dodatku nie słyszałam, żeby picie w jakikolwiek sposób pomagało na socjopatyczne zaburzenia osobowości. A propos zaburzeń: podoba mi się żart, że Wiedeńska Akademia Sztuki zaproponowała Trumpowi przyjęcie na studia, żeby nikt ich znowu nie oskarżał.

– O przyczynienie się do kolejnej wojny światowej?

– Dokładnie. I na koniec: wszystkich zapraszamy do Poznania na finał WOŚP, gdzie poprowadzę jedną z licytacji, a także, jak przystało na imperatorkę, spotkam się z siłami Imperium i Rebelii.

– W formie grup rekonstrukcyjnych?

– A jakże.

– A po czyjej będziesz stronie, gdyby doszło do bitwy? Jako imperatorka?

– Nie zadawaj podchwytliwych pytań.

– Już się zamykam. Tylko jeszcze powiem – bo tobie nie wypada – że na Allegro można wylicytować śniadanie z Joanną Senyszyn.

– Śniadanie odbędzie się w Rodzinna Caffe&Bistro w Łodzi. Licytujcie, kochani, cel jest wzniosły.

– Mimo tych kretyńskich „brzuszków" w tytule imprezy. Choć stopień infantylizacji naszego życia publicznego doprowadza mnie do rozpaczy…

– A ty znowu musisz pomalkontencić?

– Ależ oczywiście.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 769dc3e8be